

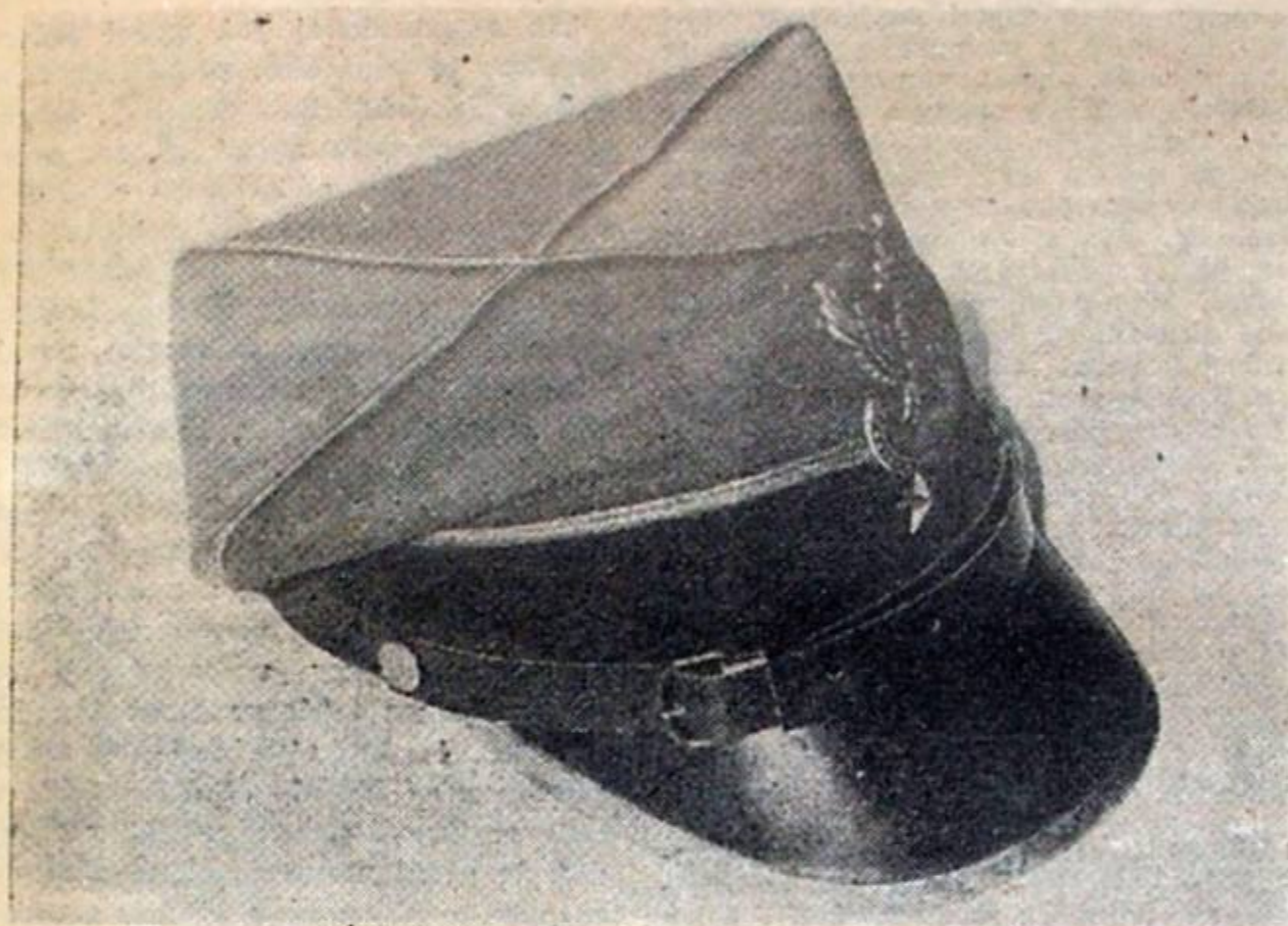
Kamena

LUBLIN 30 VIII 1981 NR 18 (738)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 7 ZŁ

1939: czapka garnizonowa podporucznika artylerii
Fot.: Jerzy Zarawski

Zbigniew Strzalkowski

WRZEŚIEŃ

Zapamiętać aż do bólu rozpaczę
płonące plecy Ojczyzny jak krzew święty
naznaczony charyzmatem tragedii, a może przewidywaniem
dnia białego. Powiedzą kiedyś: Tak, to było pośrodku Europy,
walczyli wspaniale i z pólunem w zębach padali
w pył wrześniowych łąk dojrzałych
Mówiono o nich — bali się, że amunicji starczy
zaledwie do wieczora.

Zapamiętać długi skowyt karabinów maszynowych
weszających po polnych drogach za rzeniem koni;
tak anioł zemsty biegnie tylko śladem człowieka
i znaczy go z tyłu pazurem śmierci.
Nagle się wszystko kończy — bezimienna mogiła.
Rozlewny placz wierzb. Niski pokłon leśnicy.

Zapamiętać jedwabną miękkość nieba suchego.
Codziennie modliłem się o łaskę deszczu dla wojska.
a dostawaliśmy najpiękniejsze kolory jesieni:
trzeba było brnąć przez wysokie zagony zmęczenia
i wbrew przerażeniu szukać ocalenia.
Uchodzący za granicę widzieli w snach
rozpędzone tabuny ognia i ostry łoskot u drzwi.

Historycy państwowi, kiedy już wszystko dokładnie obliczą,
naplądą zawily komentarze strategii i dyplomacji.
Pomiędzy słowem NIE, a paktem uległości
zawarta jest cała historia mego państwa, stąd tylu świętych
w naszych domach. I wdów poszarpanych.

Historycy o metafizycznym sumieniu proponują,
aby sekwencję tę zakończyć cytatem partyzanckiej Madonny
niosącej w zapasce odlamki śpiące w ciałku syna:
Kto może zaręczyć, że nie wyrósłby na sprawiedliwego,
przed którym niebo i ziemia kornie chylą czoła.

Każda szrama wgniecioną boleśnie na plecach Ojczyzny
trzeba otoczyć nimbem potrójnej korony.
Nie idzie tu o patos słowiańskiej nadziei;
ponad mitologię cwaniaków od totalnej propagandy
jest ważniejszy każdy gest żołnierzy
szukających w sobie wielkości i tragedii Państwa.

„Uwaga, henschel 126“

Pierwsza walka powietrzna

Stanisław Skalski

— Proszę panów, chwila uwagi — mówił powoli i dobitnie
dowódca kpt. Laskowski. — Dziś od godziny piątej rano jeste-
my w stanie wojny z Niemcami. Proszę zachować całkowity
spokój. A co do obowiązku... wierzę głęboko, że go spełni-
my.

Przyjeliśmy tę wiadomość w milczeniu.

[...] Zapamiętam w oka mgnieniu pasy,
silnik warknął i „jednostka” potoczy-
ła się w otwartą przestrzeń po świeżej,
zmytej rosą koniczynie.

Nabierając wysokości błorę podany
przez radiostację kierunek kłębiastych
chmur na wysokości tysiąca pięciuset
metrów pod kursem północno-wschod-
nim. Rozglądam się wokół szukając
wroga, mego pierwszego wroga! Z ty-
łu za mną ciągną jedna za drugą „jed-
nostki”. Ponieważ niebo jest dookoła
czyste, przenoszę swe poszukiwania w
dół, penetrując uważnie przestrzeń w
łukach między cumulusami. Przed
dojściem do Wisły, gdzie zachmurze-
nie całkowicie niemal znikło, dostrze-
gam w pewnej chwili przed sobą na
małej wysokości wyraźnie obcą sylwet-
kę samolotu. Włączam radio i rzucam
w eter krótką depezę: „Uwaga, hen-
schel 126, kierunek — port drzewny,
wysokość — 50—100 metrów”. Jedno-
cześnie zwałam maszynę do nurkowa-
nia.

Idę do ataku!

Rozpoznawcza maszyna niemiecka
spokojnie leci po nie zmienionym kur-
sie. Załoga, zajęta widocznie rozpozna-
niem, pewna siebie, nie obserwuje
chyba nieba. Dystans między nami
gwałtownie maleje...

Jeszcze nie jestem spostrzeżony. Spo-
kój przeciwnika podnieca mnie, czuje
drżenie rozchodzące się po całym cie-
le. Za chwilę utworzę ogień. Jeszcze
kilka sekund. Czarne krzyże stają się
coraz wyraźniejsze, rosą, rażą wzrok.
Celownik pieści je, zmniejszając po-
woli poprawkę...

Nagle henschel spluwa ku mnie cha-
otycznie ogniem obserwatora. Pilot po-
czyna uciekać do ziemi. Śmugi pocis-
ków obejmują niebem osiemnastka cały
samolot. Ścisnęłam mocniej drążek i nie

spuszczając z oka celownika zbliżam
się nadal do nieprzyjaciela.

...250 metrów... 200... 150... jeszcze
bliżej — świdruje w mózgu myśl. —
...Już, teraz!”

Naciskam spust. Stare vickersy gra-
ją bezbłędnie. Jestem idealnie w ogo-
nie. Poprawka zbędna. Długa seria
przerzywa ogień strzelca, śmigło gwał-
townie zmniejsza obroty. Ułamek se-
kundy — i ostatnia, krótka seria z
bezpośredniej odległości, po czym ostro
wyrwam maszynę w górę, by u-
niknąć zderzenia i... ognia porucznika
Pisarka i kaprała Mielczyńskiego, któ-
rzy doszli Niemca. W półokrężeniu
widzę, jak pilot stara się osadzić ma-
szynę na przygodnym terenie. Nie wy-
gląda jednak na to, że samolot prowa-
dzi wprawna ręka, pilot musi być ran-
ny. Henschel toczy się i podskakuje
jak pijany, aż wreszcie, zarywając się
w miłąkłą świeżo zoraną ziemię, prze-
chodzi na plecy. Błyska jasnoblękit-
nym brzuchem, na tle skrzydeł ostrym
kontrastem odbijają czarne, żalobne
krzyże...

„Jednostki” wykonały „taniec śmier-
ci” krążąc przez chwilę nad ofiarą.
Będąc jeszcze pod wpływem stoczony
walki, bez namysłu zatoczyłem krąg
i podszedłem do lądowania. Nie zasta-
nowialem się zupełnie, czym grozi lą-
dowanie w tak ciężkim terenie. Ale
szczęście chodzi parami. Po chwili
„jednostka”, dygocząc na nierównos-
ciach, zakończyła wybieg w niedale-
kim sąsiedztwie rozbitego henschla.
Dokoła panowała pustka, wszystkie
maszyny już odleciały. Słychać było je-
dynie silnik mojej „jednostki”, pracu-
jący na małych obrotach. Szybko wy-
skoczyłem z maszyny i pobiegłem w

Dokończenie na str. 6

z notatnika

23.VIII. Nie prowadziłem notatnika na bieżąco. Może i dobrze, bo rozrosłby mi się on do monstrualnych rozmiarów. Na stronie „Kamena” zmieścić dwa kolejne burzliwe tygodnie? I to w czasie, kiedy o jednym tylko dniu można napisać książkę? Mam za swoje! Pamiętam, ile to razy, jako ośmioletni chłopiec, wolałem: „Mamo, ja się nudzę!” Pożedłem do szkoły znając nie tylko alfabet łaciński, umiałem dodawać i odejmować, chociaż o żadnych „zerówkach” wówczas nikomu się nie śniło. Nie na darmo było się jednak dzieckiem nauczycielskim! W domu przy ulicy Reformackiej 43 w Chełmie powstawała „Kamena”, której narodzinom jako czteroletni brzdąc towarzyszyłem.

We wrześniu br. pismo rozpoczyna czterdziesty dziewiąty rok życia. Pięćdziesięciolecie stuknie „Kamień” w 1983 roku. To już jest rocznica, którą można się chwalić!

A propos rocznic: czy wiecie, jak nazywają się rocznice małżeńskie? Pierwsza to bawelnianna, druga — papierowa, trzecia — skórzana, czwarta — kwiatowa, piąta — drewniana, szósta — cukrowa, siódma — miedziana, ósma — spiżowa, dziewiąta — generalska, dziesiąta — cynowa, jedenasta — stalowa, dwunasta — płocienna, bądź lniana, trzynasta — koronkowa, czternasta — kości słoniowej, piętnasta — kryształowa, dwudziesta — porcelanowa, dwudziesta piąta — srebrna, trzydziesta — perłowa, trzydziesta piąta — koralowa, czterdziesta — rubinowa, czterdziesta piąta — szafirowa, pięćdziesiąta — złota, pięćdziesiąta piąta — brylantowa, sześćdziesiąta — białokobaltowa, siedemdziesiąta — żółta, osiemdziesiąta — białokobaltowa, dziewięćdziesiąta — białokobaltowa, a dziesiąta — białokobaltowa. Ciekawe, czy z tej okazji prezydent Longin Zieliński przydzielił dodatkowe złote kartki dla zespołu? Ale to już żartowanie na zapas!

Na razie w kalendarzu niedziela, 23 sierpnia. „Kamena” z datą 30 sierpnia już jutro popołudniu lub we wtorek rano ma się znaleźć w kioskach. Mimo strajku drukarzy harmonogram druku zostanie dotrzymany, co jest akcentem optymistycznym. Dzięki!

O samym strajku — potem. Znow przeżyliśmy, jak zazwyczaj na wstępie, dwa burzliwe tygodnie.

Amerykański „Washington Post” pisał: „Czasami wygląda na to, że Polaka udoskonaliła swą własną XX-wieczną wersję średniowiecznych turniejów. Co kilka miesięcy rycerze w zbrojach, reprezentujący przeciwne armie, wstępują na plac turniejowy. Heroldowie proklamują „walkę na śmierć i życie” i cały świat wstrzymuje oddech. Wówczas, gdy walka ma się właśnie rozpocząć, rycerze udają się do namiotów, gdzie skutecznie im się tłumaczy, że taka śmiertelna walka może się skończyć zagładą wszystkich. Wówczas ogłasza się rozejm w imię „najwyższych interesów narodu” i świat oddycha z ulgą”.

Po warszawskich rozmowach rząd — „Solidarność”, których finał obie strony komentują odmiennie, KKP NSZZ „Solidarność” zebrała się w Gdańsku. W części obrad uczestniczyła delegacja rządowa z min. Ciosek na czele. („Tygodnik Solidarność” z 21 sierpnia: „Minister w wystąpieniu podkreśla, że fakt przybycia delegacji na obrady KKP to poważna decyzja polityczna, świadcząca o dobrej woli rządu”).

Dalej — bez delegacji rządowej — obrady toczyły się przy drzwiach zamkniętych, rezultaty znane są z konferencji prasowej „Solidarność” i z łamów „Tygodnika Solidarność”.

Apel do członków Związku i całego społeczeństwa zawiera bardzo istotny fragment. Cytuję: „KKP zwraca się do wszystkich członków Związku, do wszystkich załóg w kraju — z prośbą bez precedensu w krajach niezależnego ruchu związkowego: poświęćmy dla naszego własnego ratunku nasz czas wolny: przepracujmy osiem wolnych sobót do końca bieżącego roku. Wiemy, że musiałoby to często odbywać

się kosztem zdrowia ludzi pracy i kosztem warunków pracy. Jest to środek nadzwyczajny i dramatyczny — bo sytuacja jest nadzwyczajna i dramatyczna. KKP zwraca się z tą prośbą w pierwszym rzędzie do pracowników kilku dziedzin produkcji: do górników i do załóg obsługujących górnictwo, do załóg pracujących na eksporcie, do załóg produkujących środki niezbędne dla rolnictwa oraz do załóg przetwórstwa żywności. Decyzja jest w naszych rękach”.

Co najmniej dyskusyjne wydają się jednak elementy powiedzianej dwu- i trzytygodniowej kampanii. Kontrola, podkreślenie kontroli dystrybucji wyprodukowanych w ciągu wolnych sobót dóbr — tak, ale nie sama dystrybucja! Niedawno Andrzej Szczypiorski pisał w „Życiu Warszawy” (polemizował już z tym „Głos Szczeciński” i później „Polityka”): „Naczelnik jednej z gmin w woj. zamorskim podpisał umowę z kopalnią na Śląsku. »Ja wam daję wolowinę — wy dajcie mi węgiel«. W kopalni znaleźli się myślący ludzie. Podpisano umowę. Gmina ma węgiel dla rolników, górnicy mają co jeść! Naczelnik spod Zamościa i dyrektor kopalni złamali kilka idiotycznych przepisów, aby sprostać wymaganiom życia. Chwała Bogu, że mamy w Polsce kilku rzykantów” — konkluduje Szczypiorski.

Gdybyśmy upowszechnili pomysł naczelnika, tak ciepło poparty przez Szczypiorskiego, dopiero mielibyśmy w kraju burdel! Felietonista „Głosu Szczecińskiego” zapytał: „Kiedy już system wymiany towarowej, umów i układów z tym związanych stanie się regułą, co i za co będzie wymieniał red. Szczypiorski? Pieniądze staną się przecież wówczas chyba niepotrzebne i na co będzie mógł liczyć red. Szczypiorski, jeżeli napisze nawet genialny felieton? Czy uda mu się wymienić go na kiebasę, albo na buty?”.

Słowem, nie pogłębiajmy anarchii! przestańmy dzielić ciągłe ten kraj na „my” i „ci mityczni „oni”. „Tej soboty nie oddajemy rządowi, ale ją sobie bierzmy” — stwierdził Jacek Kuroń na posiedzeniu w Gdańsku. A co, tym dodatkowym węglem będzie się palić tylko w budynku Prezydium Rady Ministrów? Czy tylko w gdańskiej siedzibie „Solidarność”?

„Przekrój” (nr 1898) opublikował bardzo interesującą rozmowę Ewy Berberyusz z Lechem Wałęsą:

EWA BERBERYUSZ: „Panie, przewodniczący, czy nie ma oznak na ziemi i niebie, że odnowa powoli trąbi do odwrotu?”

LECH WAŁĘSA: Tak, trąbi i przykro stwierdzić, że tak dąży się za przyczyną tego Wielkiego Ruchu, który tak pięknie się zapowiadał.

EB: Za przyczyną tego Ruchu? Jak pan to rozumie?

LW: Tak rozumiem, że się nie rozumie.

EB: Kto z kim? Czy dziesięć milionów ludzi może się rozumieć?

LW: Nie dziesięć milionów, ale ci, co zostali wybrani, co prowadzą, powinni się rozumieć. A nie! Są zmęczeni. Zmęczenie nasze — no, nie wiem, czy tylko zmęczenie — wpływa na to, że coraz bardziej się nie rozumiemy. Boję się, że właśnie przez nas, przez działaczy, zawracamy z drogi, która się tak pięknie szła. (...) Walczymy o władzę, nie załatwiamy spraw, bardziej idziemy na poklask, no, po prostu, chcemy się. A mamy służyć — nie patrzeć na stolki — a robić! (...)

EB: Ale na dole też robią nie to, co trzeba: najprostsze przykłady: kłótnie — nie zdejmując plakatki Solidarność z kłapy — wynosi kartony papierosów do szatniarza w hotelu; spekuluje sprzedawca i rolnik, nawet etatowi solidarnościowcy bagatelizują po regionalach. Ludzie powoli wyzbywają się odpowiedzialności za pracę, euforia z nich opada...

LW: Tak! — dłuższe milczenie — nie pomyśleliśmy o tych mechanizmach, które musiałoby zastąpić. Nie pomyśleliśmy, żeby ruch ustawić na przeciwdziałanie...

Mija rok od Sierpnia przez duże „S”. Jakże inny jest obraz naszego kraju, ile w nim zaszło korzystnych zmian! Ale jednocześnie w jak tragicznym stanie znajduje się nasza gospodarka! Można się sprzeczać na temat tego, co spowodowało, że kryzys, do którego doprowadził wolontaryzm ekipy Gierka — Jaroszewicza, stał się pogłębia, ale przecież nie może być wątpliwości, że różnego rodzaju strajki, marsze, demonstracje wzmagają napięcie i w Polsce i wokół Pol-

ski, tworzą w społeczeństwie podziały i coraz trudniej Polakowi jest porozumieć się z Polakiem. Według amerykańskiej agencji UPI, na którą się teraz powołuję, ankietą przeprowadzona przez „Solidarność” w 60 dużych fabrykach w Polsce, choć jeszcze nie kompletna, wskazuje na utratę poparcia robotników dla „Solidarność” z uwagi na nieuczynienie niczego wobec pogarszających się problemów kraju.

Strajk drukarzy, który wspólnie przeżyliśmy też nie wpłynął na utrwalenie spokoju społecznego. Raczej przeciwnie.

W Lublinie zakończenie tego strajku proklamowano na konferencji prasowej w LZGraf. W tej konferencji uczestniczyłem z bardzo mieszanym uczuciami, czemu zresztą dałem wyraz w bezpośrednich wypowiedziach. Znam wielu naszych drukarzy, od lat, chociaż ci, z którymi przed ćwierćwieczem wspólnie pracowaliśmy nad gazetą, są już przeważnie na emeryturze. Zastąpili ich młodszy. Podobnie stało się i z dziennikarzami: i Zygmunt Mikulski i Tadek Gwardak, i Irena Komosa nie odpowiadają już drukarni. Ja, kiedy wpadam na ul. Unicką, znajduję coraz mniej znajomych twarzy. Krytycznie przyznaję, że jest w tym i moja wina: przecież wspólnie jesteśmy sobie potrzebni, bez czerow nasz głos byłby niemy, jak to ładnie napisał kiedyś mój Ojciec w wierszu, poświęconym towarzysom sztuki drukarskiej. Ale może dzisiaj nie mówię już „towarzysz sztuki drukarskiej”, ale „pan sztuki drukarskiej”? Nad prezydium konferencji wisiał orzeł z koroną. Ostatecznie drobniarz, ale drobniarzem nie był już „plakat” ironizujący nie tylko z „Trybuny Ludu”. Komu to służy? — zapytał podobnie jak red. Leszek Gnot w 1971 roku, kiedy to na łamach „Kuriera” w swoich „3 groszach” krytycznie wyrażał się on o niektórych publikacjach „Kamieny” po Grudniu 1970 roku. (Przy okazji przepraszam go za to, że w felietonie na łamach „Sztandaru Ludu” napisałem, iż wprosił się do USA. W felietonie też trzeba trzymać się faktów — zgoda...).

Wracam jednak do przebiegu konferencji prasowej. Chwilami odnosiłem wrażenie, że w prezydium siedzą prokuratorzy, a na sali oskarżeni i tłum w roli widzów. Zamiast mówić o potrzebie strajku i dyskutować na ten temat, usiłowano postawić pod pręgierz dziennikarzy, głównie ze „Sztandaru Ludu”. Sami drukarze stanowili raczej milczące tło tego spektaklu.

Z drukarzy młodszych, i wiem i stałem, do prokuratorów grona, złożonego głównie z działaczy Regionu i redaktorów solidarnościowych biuletynów, dołączył p. Mirosław Olech (styszałem, że się właśnie żeni, moje gratulacje na nową drogę życia!), sekretarz Komisji Zakładowej, który — jak widzę po drukarskiej jednodniówce — jest również poetą. W wierszu bez tytułu napisał on m. in.: „Wieg czoło chyle w pokłon pokory / i hołdy składam ziemi tej — po swojsku / a zamiast patrzeć na sąsiedzkie wzory / ja wolny POLAK wolę żyć po polsku. / Po polsku skromnie i z otwartym sercem / po polsku choćby i bez żarciu, / po polsku, biednie, po ludzku nie chcę, / nie przyjmę przeto niczyjego wsparcia. / Dzisiaj i jutro — już zawsze po polsku, / w domu i w pracy — już zawsze po polsku, / nawet w kolejkę — już zawsze po polsku, / w parku, kościele — już zawsze po polsku. / PO POLSKU”.

Wiersz, jak wiersz, dodałbym jeszcze kilka miejsc, gdzie autor też powinien żyć po polsku... Osobiście nigdy nie byłem nacjonalistą i wydaje mi się, że z dobrych sąsiedzkich wzorów warto też niekiedy skorzystać. Chętnie na ten temat i na temat poezji w atmosferze niewesołej gotów jestem z p. Olechem pogadać. Nie wiem jednak, czy znalazłbym platformę dyskusji, z p. (podobno nawet nie p., ale tow.) Władysławem Stworowskim, radcą prawnym, którego argumentacja w sprawie zamknięcia linii dalekopisowej Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego zupełnie mnie nie przekonała. Też studiowałem prawo, i to na KUL-u, miałem do brzych wykładów, znawców przedmiotu, nie więc dziwnego, że mogę być wybredny. Ale to dygresja.

Mimo strajku drukarzy z zakładu LZGraf, przy ul. Unickiej, „Sztandar Ludu” (chudsi, w mniejszym nakładzie, prawda) wyszedł, choć z bardzo prymitywnych drukarni. Wyszedł i poszedł między ludzi, którzy wyrwali go sobie dosłownie z rąk do rąk. I kiedy usłyszałem na konferencji prasowej, jak to w czasie strajku męczono się na śpiworach, chciałem dodać (ale wówczas głosu mi nie udzieliłono), że jeszcze bardziej męczyci się ci, którzy „Sztandar” przygotowywali i drukowali (drukarze, redaktorzy, korektorki) w warunkach prawdziwie spartańskich. (Ani żarcia, ani arbutów, ani papierosów nikt im nie do-

nosił. Kabeletu „Koza Nostra” też nie było...).

Nie dziwię się organizatorom strajku, że czuli się co nieco — nazwijmy delikatnie — zawiedzeni, iż pomimo tylu środków zapobiegawczych gazeta jednak się ukazała. Sam na ich miejscu byłbym podobnie wkurzony. Nie dziwię się też kierownictwu „Sztandaru Ludu”, że miało uczucia kranicowo inne: wysilek jakiś tam efekt dał. Ale w istocie najbardziej przegrani są czytelnicy. I ta pracownica drukarni, którą „wyproszono” (nie zważając na jej ciężką pracę i która tak się tym zdenerwowała, że zaraz musiała znaleźć się na zwolnieniu lekarskim...).

Linę można ciągnąć, ale po pierwsze zmęczenie jest obustronne, a po drugie może się zdarzyć, że lina po prostu pęknie. I po kiego licha mają powstawać — przy udziale ludzi spoza LZGraf — podziały między samymi drukarzami (tych z „Solidarność” i tych ze związku branżowego), między samymi dziennikarzami (przecież też nie wszyscy myślą jednakowo) i wreszcie między drukarzami a dziennikarzami, drukarzami a dyrekcją.

We wspomnianej już wyżej jedno-dniówce (z wierszami p. Olecha) znalazłem „Kalendarium strajku”. Na ogólnym zebraniu załogi m. in. przewodniczący Rady Zakładowej NSZZ Pracowników Poligrafii odczytał uchwałę Rady Zakładowej NSZZ PP, w której członkowie związku branżowego zadeklarowali dołożenie wszelkich starań w celu normalnego wydania „Sztandaru Ludu”, „Kuriera Lubelskiego”. W odpowiedzi dyrektor naczelny, Kazimierz Malinek, oświadczył, że udzieli wszelkiej możliwej pomocy w tym zakresie, zapewni członkom związku branżowego pełne bezpieczeństwo przy wykonywaniu tej pracy. Weber takiego stanowiska dyrektora i Rady Zakładowej załoga zrzeszona w NSZZ „Solidarność” w celu realizacji uchwały KKP zdecydowała proklamowanie strajku okupacyjnego w głównym zakładzie przy ul. Unickiej. Wprawdzie uprzednio Komisja Zakładowa planowała ograniczenie akcji protestacyjnej wyłącznie do działu gazetowego, ale stanowisko dyrekcji i związku branżowego zmusiło „Solidarność” do rozszerzenia strajku na cały zakład. W przeciwnym wypadku istniała realna możliwość podjęcia druku gazet zastępczo na innych wydziałach”.

I teraz już jasne! strajk okupacyjny powstał z winy dyrektora Malinka i związków branżowych! Bez tego strajku okupacyjnego dyrektor z branżowcami i tak i tak wydrukowałby gazety... Nie przewidziano jednak, że na Lublinie świat się nie kończy.

A swoją drogą, jeśli wspólnie mamy być szczerzy do końca, dopiszmy tę kropkę nad „i”. Na ogólnym zebraniu, kiedy to proklamowano strajk, było obecnych ok. 120 osób. Olbrzymia większość spośród nich głosowała za strajkiem, nie da się ukryć, ale przecież w zakładzie przy ul. Unickiej pracuje nie 120 osób, ale ok. 400. Załóżmy, że setka jest na urlopie to i tak do trzydziestu zabrakło 180...

Albo co się postrajkowało, to się postrajkowało. Śmiem jednak wątpić, czy cel akcji został osiągnięty. Każde rozmowy, na każdym szczeblu, ale zwłaszcza te na szczeblu najwyższym, lepiej prowadzi się w atmosferze spokoju. Po jednej i po drugiej stronie stołu siedzą zwykłe ludzie, którzy, jak to ludzie, narażeni są na różne stresy i często mają przeciwstawne poglądy. Metoda dyktatu zawsze prowadzi do nikąd. A gdy w łódce wiosłować zaczynają się między sobą szarpać, łódka po prostu może pójść na dno. Zatoną wszyscy.

I nie ma już żadnego znaczenia, czy woda jest czysta czy brudna. W tej i w tej tonie się jednako...

M. A. Jaworski

Kryzys kryzysowi nierówny, ale...

Zboże, mięso i realizm

TADEUSZ JASIŃSKI

KONRAD Wrzós był jednym z oficjalnych publicystów prasy sanacyjnej, ale miał oczy szeroko otwarte. Interesujący był cyki jego reportaży, które ukazywały się w 1936 r. w tomie pt. „Okno w okno z kryzysem”.

Przed wojną było w Polsce 1 076 900 gospodarstw od 5 do 20 hektarów. Autor odwiedził jednego z właścicieli takiego gospodarstwa, p. Adama.

Wśród rzadko rozrzuconych po polach Saskiej Łipki chat z dala lśni się blachą kryty dach jego domku. (...) Mały warsztat stolarski, na którym można zrobić wszystko potrzebne do gospodarstwa, i izba do spania, w niej zaś dwa łóżka drewniane i szafa. 3 małe poduszki w białych poszewkach, poukładane jedna na drugiej pod sufitem, znaczą zamożność. Ściany są pomalowane, na malowanych podłogach leżą kilimki ręcznej roboty.

Nasz gospodarz budzi sympatię na pierwszy rzut oka. Krzepki, o prostym spojrzeniu, siedzi w kożuchu w swojej sypialni, do której nas zaprosił. Na swych 13 hektarach posiada gospodarstwo hodowlane: 4 krowy.

— Zarobek jest marny — powiada. — Krowa może dać 14—16 litrów mleka; 8 gr bierze się za litr. Robić masła się nie oplaca.

Takiej biedy nie pamięta on na tej ziemi, na której rodzina jego trwa od 80 lat. [...]

— Pyta pan, czym się opala mieszkanie? Torfem i drzewem! Torf kopie się na łące, drzewo zaś kupuje się, jak są pieniądze, i dlatego przeciętnie pali się w piecu 3 razy w tygodniu.

— Czym oświetlamy mieszkanie — naftą! Kupuje się naftę, jak się zarobi. Niedawno — powiada p. Adam — trzeba było właśnie kupić naftę i cukru. Zaprowadziłem krowę na targ. Dawała 50 złotych. Pożałowałem, nie sprzedałem. Siedziało się po ciemku.

— Wiele używamy cukru? — Przeciętnie kupuje się funt cukru na miesiąc. Na wiele osób? Jest nas 5 osób.

P. Adam ma 800 zł długu, trochę prywatnego, trochę bankowego. Ponieważ z trudem utrzymuje dom, więc nie może być mowy o regularnej spłacie długów. [...]

— Co jemy? Na śniadanie ziemniaki z mlekiem, na obiad ziemniaki z kapustą. Na kolację ziemniaki z... piecyką, do którego się odstawia te, które zostały z obiadu, wreszcie chleb i masło. [...]

Czego p. Adam oczekuje?

— Czekam — powiada — w nadziei, że krowa podrożeje, że ziemia podrożeje i żyto też i że podatki będą mniejsze. [...]

Tak wyglądała rozmowa Konrada Wrzosa ze „średniakiem”. Ale autor odwiedził też chłopów gospodarujących na nieco mniej niż dwóch hektarach (a takich „majątek” było w przedwojennej Polsce 9 311 300). Połączmy:

— W izbie pod ścianą — przegródka, w niej wśród ziemniaków — kury. Jest ich 8. Na prawo od tej przegródki dwie skrzynie, jedna jest pusta, w drugiej szezka dla krowy. Mąkę dostaje p. Anna z młyna. Chleb robi sama. Czym opala mieszkanie? Drzewem, które przynosi na plecach z lasu, odległego o 4 km.

Czym oświetla izbę?

— „Karpina” albo łuczywem. Ale przeważnie — powiada — siedzi po ciemku i o zmroku idzie spać.

Czym się odżywia?

— Na śniadanie jemy z synkiem trochę chleba czarnego — mówi — na obiad zupę z ziemniaków, na kolację ziemniaki. Okrasy żadnej. Za ziemniaki płacimy 50 gr za pud. Przy nasze je sama. [...]

Gospodyni miała wieprzka, ale sprzedała go za krowę, aby mieć mleko. Może na przyszły rok wróci do wieprzka, aby mieć słoninę, ale „póki co” zostaje przy swojej krowie, bo „kalkulacja mleczno-ziemniaczana” nie jest dla niej — powiada — najgorsza. [...]

— A gdzie pani śpi? [...]

— Śpię z synkiem na piecu — powiada, wskazując kwadratowy niski piec w kącie pokoju. — Jak się nie opala, to człowiek śpi na samym piecu, na tej poduszce, która została — mówi gospodyni, ściągając poduszkę z pieca. A jak piec jest rozgrzany, to się przynosi z lasu krzaki i jodłowca i śpi się na jodłowcu.

Konrad Wrzós, podkreślam, należał do sympatyków sanacji i o przejęskrawieniu posądzać go nie można. Przedstawiony przez niego obraz wsi jest ponury. Wiele konsumowała mało, bardzo mało. Ale gdy tylko mogła, pragnęła sprzedawać zboże i żywiec, szukała pieniędzy. Prawda, byliśmy eksporterami zboża, mięsa i szynki, ale naród w swej masie żył w nędzy lub na jej pograniczu. Wystarczy pogadać z przedstawicielami pokolenia, które odchodził, wystarczy sięgnąć do publikacji z tego okresu lub do suchych liczb z przedwojennych roczników statystycznych.

Dziś chłopie też narzekają. Wielu z nich narzeka, że nie ma na co wydać pieniędzy, bo osłabiona ekonomika przemysłu, bo strajkujące i zdeorganizowane fabryki mogą im oferować tak niewiele. Powszechnie też psioć się na brak maszyn, węgla, elementów budowlanych, a nawet na układ cen, który rzeczywiście nie zawsze jest prawidłowy...

W czasie obrad jednego z zespołów problemowych na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR zabrał głos delegat wojewódzkiej organizacji partyjnej w Lublinie, członek egzekutywy KW PZPR, Władysław Jopa. Jest on kierownikiem służby rolnej w gminie Piaszki i chłopskie problemy są mu znane bezpośrednio. Jego zdaniem rolnikowi po prostu nie opłaca się nadal hodować na sprzedaż, choćby pieniądź miał odpowiednią wartość nabywczą i towarów w postaci np. maszyny rolniczych było pod dostatkiem.

Nie opłaca się, ale... Mieszkańcom piaseckiej gminy należało się w lipcu na kartki 239 kwintali mięsa i wędlin. W tym czasie rolnicy sprzedali na punktach skupu 293 tuczniki, co po zabiciu i odrzuceniu ubytków ledwo wystarcza dla nich samych! Honor gminy ratuje jedynie sprzedaż bydła rzeźnego. W październiku, a więc już w miesiącu jesiennym, na podstawie kontraktacji można się spodziewać jedynie 216 tuczników i 39 sztuk bydła. Starczy na własne kartki? Może. Ale musimy pamiętać, że owe 239 kwintali miesięcznie przypada tylko na kartki wydane przez tamtejszy Urząd Gminny, nie korzystają z nich ani chłopo-robotnicy ani ci urzędnicy, którzy dojeżdżają do pracy do Lublina. Wniosek prosty: ta zaliczana do najlepszych gmin w województwie lubelskim ledwo żywi swych mieszkańców. Oczywiście w gminie są spore plantacje chmielu, tytoniu czy buraków cukrowych, ale to już osobna historia.

Ala właściwie dlaczego, o czym wspominał Władysław Jopa, rolnikowi nie opłaca się hodować? Wylieczyli mi to: kierownik oddziału produkcji rolnej w Wydziale Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, mgr Edward Kowalczyk, oraz inspektor w tej jednostce, mgr inż. Jerzy Patorski. Dwudziestokilogramowe prosię kosztuje 2 200 złotych. Aby doprowadzić tuczniaka do wagi 120 kilogramów, trzeba, skromnie licząc, zużyć: 220 kg

śruty zbożowej, 60 kg mieszanki przemysłowej, 600 kg ziemniaków i 300 kg zielonki. W sumie (uwzględniając cenę prosięcia) pochłania to 8 170 złotych. Opał, energia elektryczna, opieka weterynaryjna, transport, ubezpieczenie, ryzyko upadku któregoś z hodowanych sztuk ocenia się na 1 220 złotych. Całkowite koszty wynoszą więc 9 390 złotych, a przy obecnych cenach za owe 120 kilogramów rolnik otrzymuje jedynie 10 320 złotych. Jego zarobek za półroczną pracę wynosi „aż” 930 złotych.

Czy więc nie lepiej sprzedawać mu nie zwierzęta, a po prostu ziemniaki czy zboże?

Ci wszyscy, którzy tak obstają przy starych cenach żywności, a jednocześnie domagają się wprowadzenia w życie reformy gospodarczej, powinni

już nie wchodziły w statystykę sklepów wiejskich!

Zupełnie katastrofalnie jest jednak dzisiejszy. W okresie pierwszego kwartału oraz drugiego b.r. po wprowadzeniu kartek sklepy wiejskie sprzedawały rolnikom 23 634 ton pieczywa, kasz i mąki (przy, przypominam, 13 894 tonach sprzedanego państwu od lipca do czerwca zboża!).

Skąd się biorą te nadwyżki, to zboże, które po przetworzeniu wraca na wieś. Wiadomo skąd — z importu.

Skoro wieś lubelska tak mało dawała w poprzednich latach na wyżywienie miast, a w ostatnich dwóch oficjalnie nie potrafiła wyżywić nawet samej siebie, wnioski mogą nasuwać się różne, niektórzy mówią nawet o magazynowaniu zboża przez rolników. Inni zaś twierdzą, że po prostu mniejsze są zbiory. Mniejsze? Bywają lata lepsze i gorsze, ale Wyżyna Lubelska nieźle rodzi nawet wówczas, kiedy są i obfite opady. Zboże poszło jako pasza dla trzody i bydła? Nie odczuliśmy tego. Jeszcze w 1975 r. sprzedano państwu 90 tys. ton trzody i bydła. W tym roku — według bardzo optymistycznych szacunków — skupimy 60 tys. ton, czyli o 30 tys. ton mniej niż w 1975 r., o 28 tys. ton mniej niż w dobrym 1979 r. i o prawie 9 tys. ton mniej niż w złym 1980 r.

Lubelszczyzna to teren zielony. Musi ona — biorąc rzecz realnie — dostarczać mięso do dyspozycji centralnego rozdzielnictwa. I ciągle się tak dzieje, chociaż dostawy z roku na rok są coraz mniejsze. Należałoby zbadać, czy proporcjonalnie maleją dostawy traktorów, maszyn, urządzeń, węgla i nawozów? W każdym bądź razie pretensje są obopólne: wsi do miasta, miasta do wsi. Może kres im położy reforma gospodarcza, która wszystko



Fot. W Stępień

przede wszystkim sami zapoznać się z rachunkiem ekonomicznym. Będzie to czas spożytkowany, a nie czas zmierzony w „głodowych” manifestacjach, które poza zwiększeniem społecznego napięcia niczego nikomu nie dają!

Dalej będę posługiwać się liczbami, bo właśnie one najlepiej uzmądlają sytuację dnia dzisiejszego. (Przy okazji dziękuję za pomoc inspektorem z Wydziału Handlu i Usług UW — mgr Janinie Smagale i mgr Janowi Niczewskiemu oraz — z Wydziału Rolnictwa UW — Janowi Kotnarowskiemu.)

Otóż w roku gospodarczym 1978/79 rolnicy lubelscy sprzedali oficjalnie państwu 71 740 ton zboża, a już w roku 79/80 tylko 41 405. Ale owe „tylko” to i tak dużo w porównaniu z rokiem 80/81: w ciągu jedenastu miesięcy, od lipca ub. r. do czerwca b. r., sprzedano zaledwie 13 896 ton!

Z planów żywnościowych 1978 roku wieś lubelska tylko w swoich sklepach zakupiła 43 542 ton pieczywa, mąki i kaszy. Wynikałoby z tego, że na wyżywienie miast pozostało 28 198 ton zboża. Tak, ale trzeba uwzględnić, iż w wyniku umów kontraktacyjnych na żywiec i za odstawił mleko na wieś trafiło 85 663 tony mieszanek paszowych, w których skład wchodzi niemało białka zbożowego.

Rok potem sytuacja pogorszyła się: wieś lubelska, ta indywidualna, po zupełnie dobrych żniwach 1979 r. stała się już dłużnikiem społeczeństwa, bowiem chleba, mąki i kasz zakupiła o 3 572 tony więcej niż sprzedała mu ziarna. W dodatku nabyła 66 422 ton mieszanek paszowych.

Prawie mimochodem dodam, że liczby te trzeba zwiększyć, bowiem prawie każdy chłopo-robotnik taskał z miasta na wieś bochny chleba, które

oprze na zdrowym rachunku ekonomicznym?

Ostatnio sytuacja stwarza i taki paradoks, że przed samymi żniwami udało nam się zaimportować spore ilości zboża. Zapelnione są nini magazyny portów i silosów. W związku z tym są kłopoty z magazynowaniem zbiorów tegorocznych. Oczywiście wielu rolników może przechować zboże u siebie. Ale to przechowane zboże dla wielu, jeśli sytuacja gospodarcza kraju ulegnie pogorszeniu, po prostu stanie się kapitałem, własną PKO, procentującą coraz bardziej.

To, co teraz napiszę, wyda się dla miasta niepopularne, ale wyrażam pogląd, że i z bodźcami cenowymi na hodowlę, połączonymi z bodźcami towarowymi, trudno dalej czekać. Zbyt wiele celów idzie na rzeź, o wiele za mało hodoje się macior i prosiat. Trzeba szybko przynajmniej odbudować ilość trzody chlewnej (według ostatniego spisu jest ona w kraju niższa o trzy miliony w porównaniu z rokiem ubiegłym, kiedy też nie było już najlepiej).

Zaczęłam ten tekst od cytowania reportażu Konrada Wrzosa. Reportaż ten pisał autor w okresie kryzysu gospodarczego. Teraz też przeżywamy kryzys. Ale który chłop odpowiedział na pytanie „czym się odżywiacie” tak, jak bohaterka odpowiedziała wówczas dziennikarzowi! „Na śniadanie jemy z synkiem trochę chleba czarnego, na obiad — zupę z ziemniaków, na kolację ziemniaki. Okrasy żadnej”.

Ala to nie powód do wielkiego optymizmu!

LATWYM wysiłkiem — omal nie napisałem „na skrzydłach tęsknoty” — serce me jednym wzlotem równocześnie w ocean przeszłości i poza Atlantyk siny przerzucając — stwierdził Wieniawa w 1942 roku, przebywając na emigracji w Stanach Zjednoczonych — widzę moje strony rodzinne, widzę je w przestrzeni, ograniczonej od północy biegiem górnej Wisły a Karpatami od południa i w czasie dzieciństwa mego i młodości „sielskiej, anielskiej”, widzę je w gonitwie obrazów, scen i wydarzeń, jak oglądane w chłopięcym wieku, w nowosądeckim fotoplastykonie, cuda Egiptu.

Serię obrazów rozpoczyna stary dwór w Bobowej, gontami pokryty, z podjazdem wspartym na czterech kamiennych kolumnach, rodzinny mój dom, przez okoliczną ludność z wielką przesadą zamkiem nazywany...”

Bobowa — niewielka, podgórska miejscowość położona na terenie Sądeckim, którą tak oto wspominał, żyjący wiek wcześniej przed Wieniawą, żołnierz i kapłan, polityk i moralista, pisarz i historyk, Ludwik Łętowski:

„Miasteczko to leży nad rzeką Białą, w pięknym położeniu. Jest to ta dolina co począwszy od Tuchowa ciągnie się w górę poza Grybów, a środkiem jej wije się rzeka Biała po kamienistym łozu z wsiami i dworami bokiem, gdzieś tam zameczkami, na tle widowni mającej Karpaty... Bobowa, miłe mi wspomnienie. Za tobą ja tęsknię dziś stary. Na Wawelu posadzony przy złoczonej jego katedrze, wszelako okiem moim szukam ciebie”.

Ale nie Bobowa była miejscem urodzenia Wieniawy. Bolesław Ignacy Florian Długoszowski herbu Wieniawa urodził się przed 100 laty 22 lipca 1881 roku w Maksymówce pow. Dolina, na Ukrainie, w rodzinie Bolesława i Józefy ze Struszkiewiczów. Około 1887 roku inż. Bolesław Długoszowski zakupił Bobową od spadkobierców nieżyjącego jej właściciela Aleksandra Kossakiewicza i wkrótce sprowadził się do tej miejscowości wraz z całą rodziną. W skład jej wchodziło również rodzeństwo kilkuletniego Bolesława: brat Kazimierz oraz siostry Teofila i Zofia.

Chłopięce, beztroskie lata spędzał Wieniawa w przepięknej scenerii Ziemi Sądeckiej, w nasyczonej olbrzymim patriotyzmem atmosferze rodzinnego domu w Bobowej, co odegrało w przyszłości jakże istotną rolę w jego życiu. Dziad Wieniawy, Wincenty Wieniawa-Długoszowski, którego portret w mundurze z żółtym rabatem wisiał w pokoju jego ojca, był ongiś rotmistrzem 3 pułku ułanów.

„Wybuch powstania listopadowego — pisze o nim Wieniawa — zastał go już w randze porucznika, który pod Grochowem zapracował na awans na rotmistrza i w końcu, w szarży pod Ostrołęką ranny jedenaście razy od cięć szabli i pchnięć kozackich spis, dostał się do niewoli rosyjskiej. Skazany następnie na dziesięć lat „karnych rob” na Kaukazie, po kilku latach zdołał zbiec i przez Turcję i Rumunię przedostać się do podkarpackiego zacisza”.

Ojciec Wieniawy, także Bolesław (ur. we Lwowie w 1843 r., zm. w Bobowej w 1912 r.), jako młody chłopak walczył w powstaniu styczniowym 1863/64 roku, w oddziale partyzanckim gen. Czachowskiego.

„Godzinami całami, nie nasyceni nigdy — wspominał po latach Wieniawa — słuchaliśmy opowiadań ojca o pierwszej bitwie pod Osieckiem w Sandomierszczyźnie, o partyzantce w Kieleckiem, o tem, jak pewnego razu, wysłany z kilku kolegami na zwiady, tyłem przez kilka kilometrów maszerował w celu zmylenia Moskali śladami na śniegu, o tem, jak innego razu pluton jego, maszerujący w tylnej straży, Moskały odciął od sił głównych, jak to oddziałek bronił się zawzięcie w samotnej stodole, którą podpalił rozwścieczeni oporem napastnicy, jak wreszcie obciążeni rozpaczliwym

atakami na bagnety zdołali się przebić przez wroże szeregi”.

Opowiadania te niezwykle mocno oddziaływały na wyobraźnię młodego chłopca, żywiącą również wspomnieniami rządy majątku Bobowa, ponad 80 lat liczącego, ale krzepkiego jeszcze starca, nauczyciela jazdy konnej Wieniawy, pana Daszkiewicza. Ten były żołnierz powstania listopadowego, uczestnik kampanii węgierskiej gen. Bema w 1848 roku i w końcu powstanie styczniowy z 1863 roku snuł także kombatanckie opowieści, zazwyczaj zimowymi wieczorami.

W 1869 roku ojciec Wieniawy uzyskał tytuł inżyniera na Akademii Technicznej we Lwowie i przez następnych kilka dziesiątków lat pochłonięty go niemal całkowicie prace inżynierskie, co niewątpliwie znalazło swoje odzwierciedlenie w całokształcie spraw związanych z zarządzaniem ziemskim majątkiem. Inż. Długoszowski budował na terenie Galicji linie kolejowe, kierował pracami przy regulacji rzek itp. Aktywnie działał w galicyjskim To-

ejcie w Bobowej — pełnymi wycieczkami, jazd konnych oraz pierwszymi polowaniami — przebiegały jednak bardzo burzliwie. Spowodowane to było tym, co sam później lojalnie wyznał, że: „...od najtkliwszej młodości byłem dzieciątkiem obdarzonym — wyrażając się ze zrozumiałą względem siebie samego oględnością, by nie powiedzieć całej, przykrej prawdy, a niezupełnie skłamać — cokolwiek trudnym do prowadzenia charakterem”.

W innym miejscu tak oto wspominał okres szkolny: „...wyznać muszę, że z czasów gimnazjalnych raczej przykre wyniosłem wspomnienia, bo z cesarsko-królewskimi belframi nie bardzo byłem w zgodzie wskutek ich bezwzględnej nietolerancji dla moich zamiłowań sportowych, a mojej awersji do misteriiw gramatyki greckiej, co przy moim nieokiełznanym od kołyski temperamencie doprowadzało między nami do licznych starć i nieporozumień, w których rezultacie wylewano mnie sromotnie ze wszystkich po kolei lwowskich gimnazjów”.

ale przecież w pełni zrozumiał. Był tym, który w okresie niewoli i powstanych tęsknot do odzyskania niepodległości przypominał społeczeństwu polskiemu czas świetności polskiego oręża.

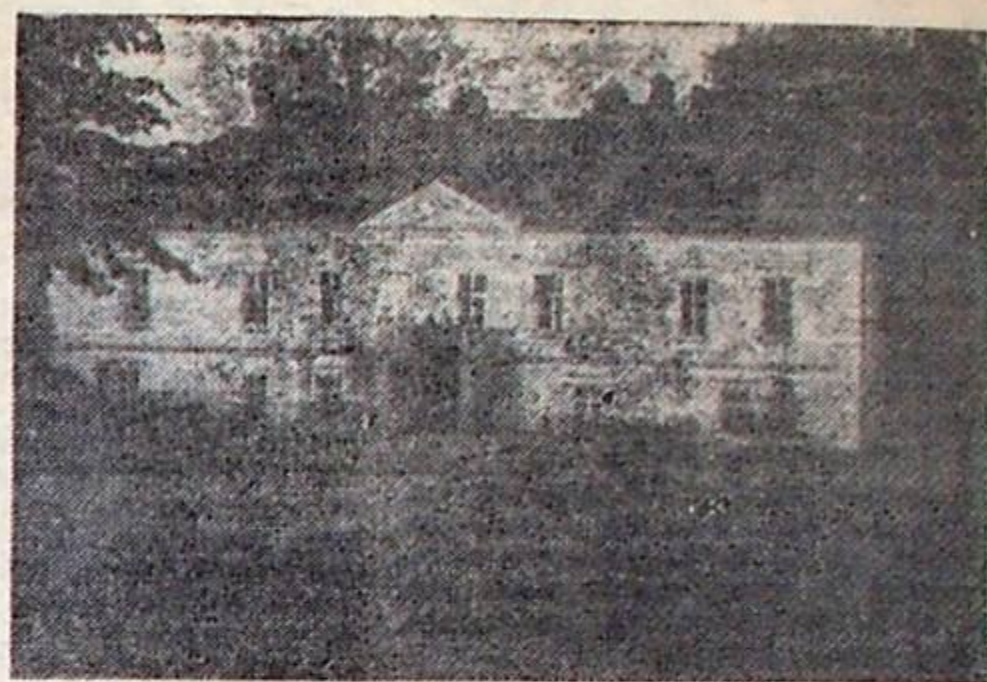
Oddajmy ponownie miejsce wspomnieniom Wieniawy: „To on — pisał o Henryku Sienkiewicz w kontekście szkolnych lat — mej młodości dał wrażenia najgłębsze, najżywsze, niezapomniane. On, z którego książkami nie rozstawałem się przez całe lata — kochałem wskrzeszonych przez niego w moje życie żołnierzyków i junaków osławionych — zazdrościłem im na jawie, a towarzyszyłem w snach...”

Przez niego brałem w gimnazjum dwójkę z niemieckiego i z greki, przez niego przesiadywałem tyle razy w niedzielę w karczerze, za czytanie tych rycerskich opowieści podczas nauki, ale dzięki niemu — przede wszystkim dzięki niemu — nie utonąłem w szarzyźnie i miłośności uczuciowej, nie uwierzyłem, że najpiękniejszym czynem

Szwależer II Rzeczypospolitej (2)

Cokolwiek trudny ...

WOJCIECH BIAŁASIEWICZ



Dom Długoszowskich w Bobowej. Obecnie Internat liceum ogólnokształcącego.

warzystwie Politechnicznym, piastując w 1891 roku godność wiceprezesa, oraz w Galicyjskiej Izbie Inżynierskiej. Zdumiewające: Wieniawa niczego nie odziedziczył z politechnicznych zainteresowań swojego ojca.

Lata szkolne młodego Długoszowskiego, urozmaicone sielskimi waka-

Perypetie z programem szkolnym wynikały po prostu z zupełnie innych zainteresowań, niewątpliwie bardzo zdolnego, ale niesforne go chłopaka, wśród których poczesne miejsce zajmowały wówczas powieści Henryka Sienkiewicza. Zdumiewający wręcz wpływ wywarł ten pisarz na pokolenie współczesne Wieniawie, zdumiewający,

patriotycznym jest podwojenie dochodów [a były to przecież czasy propagowania koncepcji galicyjskiego lojalizmu i fascynacji założeniami pracy organicznej — p. WB], a jedynie mądrymi radami są wskazania w tak popularnych u nas przysłowiach, jak te, które uczą, że „pokorne cięle dwie krowy ssie” (a śpały nas wtedy trzy świnie), że „czasem i diabłu trzeba zapalić świeczkę” i w to rozgrzeszające wszystkie podłości i wszystkie słabości „trudno mój kochany, cóż zrobić — życie to jest życie”.

Zasadom uczciwości w życiu, wpojęnym w domu rodzinnym i w szkole, pozostał Wieniawa wierny bez względu na różne okoliczności, z jakimi dane było mu się zetknąć. „Wiedzie chłopce — powiedział wiele lat później do Wieniawy J. Piłsudski — wypytawałem o was gen. Krzemińskiego, który z nas wszystkich — zna was najdawniej. [Gen. Krzemiński był kolegą gimnazjalnym Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego — p. WB]. Nalegałem nań, by mi szczerze powiedział, czyście kiedykolwiek nie zrobili jakiegoś świństwa. I wie pan, co mi odpowiedział generał — Panie Marszałku, głupstw na pewno bez liku, ale świństwa nigdy żadnego”.

Zdesperowani rodzice oddali niesforne go młodzieńca do sławnego kolegium jezuitów w Chyrowie, słynnego nie tylko z wysokiego poziomu nauczania, ale także, a może przede wszystkim, z żelaznej dyscypliny w jakiej wychowywano młodzież.

„Zakład ten — wspomina absolwent chyrowskiego gimnazjum, późniejszy aktor Janusz Warnecki — położony nad Strwiążem, w górzystych Bąkowiecach, nie cieszył się najlepszą opinią wśród młodzieży. Oddawano tu pani-ezyków ze wsi, maminsynków, no i skończonych basalyków, zakazy rodzinne. Tak głośna nieżyczliwa fama, choć dużo w tym było przesady...”

Wieniawa nie wytrwał długo w Chyrowie. Po okresie ponownej nauki we Lwowie przeniósł się do gimnazjum w Nowym Sączu, gdzie uzyskał w końcu świadectwo dojrzałości.

cdn

„CAVALERIA ROSBRICANA”
pod dowództwem pułkownika Wieniawy-Długoszowskiego
w sobotę dn. 15 b. m. w Filharmonii



Wi. Długoszowski

„KON BY SIĘ UŚMIAŁ,
I PAN SIĘ UŚMIEJ TEŻ!”

Już nie chronić ale bronić

HENRYK PAJAK

JAKI stan i poszanowanie gospodarki, taki stan i poszanowanie przyrody: na fali wielkiego prania gospodarki zaczynają się wreszcie pojawiać rzetelne spojrzenia na to, co działo się w dziedzinie ochrony środowiska. Radzą, publicznie już naukowcy, odbywają się konferencje prasowe na ten temat, we wrześniu ub. r. odbyło się w Warszawie posiedzenie Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ poświęcone m. in. ochronie środowiska w skali Europy, oczywiście z kontekstem polskim. Konkluzją tego forum było stwierdzenie, że warunkiem spełnienia podstawowych wymagań wobec potrzeb środowiska człowieka jest szeroki obieg pełnej i rzetelnej informacji na ten temat.

Właśnie, obieg informacji. Tej nie było. Niszczenie środowiska odbywało się dyskretnie, pod protektorem wielkich idei przemysłowych. Cel uświęcał ceny. O totalnym niszczeniu przyrody: zanieczyszczeniu powietrza, aneksji gleb uprawnych dowiadaliśmy się od czasu do czasu, przeważnie z okazji katastrof w rodzaju lawie martwych ryb na Biebrzy w okolicach Grajewa, zbiorowych protestów mieszkańców wiosek, czy osad (wielkie krematorium odpadów gumowych grudziądzkiego Stomilu we wsi Parki, czy cementarnia śmieci Polkoloru w Baniósze) albo, jak obecnie — w obliczu katastrofy ekologicznej wzdłuż Wybrzeża. Alarmy praktyków i naukowców przechodziły bez echa, wyniki badań grzęzły w szufladach. Przed laty skarżył się w rozmowie ze mną jeden z naukowców lubelskiej AR: Zebrałem niepokojące wyniki badań zanieczyszczenia zbóż związkami szkodliwymi dla zdrowia. Chciałem opublikować choćby w periodykach naukowych — nie poszło.

O zmniejszaniu się powierzchni pól uprawnych pisało, owszem, ale bez pełnych liczb; a były takie lata, kiedy przemysł i urbanizacja zabierały po 70 tysięcy hektarów rocznie. Pisało o 30-40 tysiącach hektarów, ale tylko w kontekście ubytku żywności, a nie zagrożenia ogólnej egzystencji człowieka w perspektywie pokoleń. O budowie lubelskiej odlewni napisano setki artykułów, lecz w żadnym czytelnik nie dowiedział się, że odbywa się to kosztem około 100 hektarów gleby II klasy. O skandalu z budową strzelnicy myśliwskiej na podobnej glebie trzęsło się w Lublinie lat kilka, aż wreszcie, pod naporem szemranych protestów strzelnicę zniwelowano. Byli i sekretarz KW w Lublinie, W. Kozdra, zdjął ze stanowiska dyrektora lasów, gdy ten odważył się skrytykować pomysł budowy puławskich Azotów, o które tak walczył dla ukończenia Lubelszczyzny i w końcu wywalczył, wsadzając je w środek Puław. Jak dotąd, zmarniało dwa tysiące hektarów lasów, następne w drodze. Dla uspokajania opinii kazano naukowcom próbować rekultywacji gruntów, uprawy roślin odpornych na wysokie dawki azotu. Wszystko na nic. Kapusta pastewna, która potrafi zaabsorbować do 2 tys. kg azotu na hektarze, nie nadaje się do karmienia nawet bydła. Kraków już się zaczął rozsypanywać za sprawą huty aluminium w Skawinie, miasto to stało się najbardziej po Madrycie „niezdrowym” miastem Europy i trzeba było dopiero eksplozji „odnowy”, żeby zlikwidować hutę i uratować Kraków od rozsyplki.

Wielkim pomnikiem arogancji wobec potrzeb środowiska przyrodniczego stała się huta Katowice, owa „katedra na pustyni”, wzniesiona w rejonie i tak już maksymalnie przeciążonym przemysłowo i urbanistycznie. Ten gigant wznoszony był w centrum aglomeracji przemysłowej i przez to właśnie stawał się katedrą na pustyni: bo z dala od rudy, która w drodze do huty musi przebyć całą Polskę czy to z północy czy ze wschodu; bo bez żadnych rezerw siły roboczej, przy ostrym deficycie wody. Podobną inwestycją była też cukrownia w Łapach: najnowocześniejsza w Europie, tyle tylko, że stawiana w rejonie bez tradycji uprawy buraka cukrowego. Ale to już sfera dawnych nonsensów inwestycyjnych. Huta Katowice, to również sprawa olbrzymiej, jak na polskie warunki, linii kolejowej wschód-zachód, zwanej szumnie linią hutniczo-siarkową. Poszły pod nią tysiące hektarów, w tym tereny Roztoczańskiego Parku Narodowego. Na nic zdały się nieśmiało napomnienia naukowców, leśników, miłośników przyrody, że jest to rozcięcie parku na dwie połowy, przez który dzień i noc będą przewalać się tabory linii szerokotorowej; że loskot, zanieczyszczenie powietrza; że jodla, która jeszcze nie obumiera na tym terenie, zacznie usychać, gdyż jest szczególnie wrażliwa na zanieczyszczenia powietrza.

Decyzje zapadały na majestacie prawa, przepisów, ustawy o ochronie przyrody, przy rzadkich i nieśmiałych sprzeciwach Państwowej Rady Ochrony Przyrody, jeszcze radszych protestach naczelnych lub wojewódzkich konserwatorów przyrody. O tym, gdzie władze miały całą tę instytucjonalną i społeczną otoczkę ochrony przyrody, mówiono na sesji naukowej w Warszawie („Państwo i Prawo” 1980 r. z. 10). poświęconej miejscu i roli ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska w systemie prawa PRL. O wynikach badań naukowych na temat skażeń, wpływu wielkich zakładów na florę i faunę, dowiedzieć się można nadal prawie wyłącznie z pism fachowych, biuletynów uniwersyteckich, itp.

Trzeba więc specjalnych zainteresowań, aby np. dotrzeć do pracy zbiorowej na temat wpływu emisji przemysłowych na metabolizm zwierząt w okolicach huty Katowice — opublikowanej w

„Pracach Naukowych Uniwersytetu Śląskiego” (Acta Biol. 1980 r. t. 8), czy do wyników badań nad lokalizacją i kumulacją cynku i ołowiu u zwierząt bezkręgowych w rejonie huty Katowice — opublikowanych w tym samym periodyku uniwersyteckim. Tylko w wąskim kręgu specjalistów pozostaje np. artykuł W. Radeckiego o przestępstwach z ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska, opublikowany w „Nowym Prawie” (1980 r. nr 7-8). Naukowcy lokalizują i rozpoznają zagrożenia, które jeszcze nie są dostrzegalne gołym okiem, nie ujawniały się w zmasowanym skutku, jakim staje się długo później np. lawica martwych ryb, owrzodzenia węgorez, padłe ptaki, gwałtowne odwapnienia kości ludzi i zwierząt, zatrucia ołowiem, siarką, fluorem. Gdy ruszy kampania cukrownicza, rzeki, do których wpływają ścieki tych fabryk, pokrywają się białą pianą i dopiero wówczas przeciętny obywatel zaczyna dostrzegać, że coś jest „nie tak”. Znacznie gorsze w skutkach jest niszczenie przyrody i środowiska rozciągnięte w czasie, powolnie dawkiowane, bez spektakularnych katastrof. Kto np. przejmując się powolnym dobijaniem unikalnej kolonii żółwia błotnego w rozlewisku Uherki koło Chelma, czego wieloletnim sprawcą jest miejscowy zakład przetwórstwa owocowego?

Tylko dzięki przypadkowi i interwencji dziennikarzy i literatów można było dowiedzieć się o skandalu, jakim było wycięcie kilku wiekowych drzew zarejestrowanych w grupie pomników przyrody: w Karolinie za Serockiem upatrzył je sobie na klepki parkietu wysoki dygnitarz i kupił od rolnika, na którego polu rosły. Nie setki, lecz tysiące takich przykładów składają się na sytuację środowiska człowieka, inaczej mówiąc — na stan i los przyrody w tym kraju. Całe lata funkcjonowała taryfa karna za zanieczyszczenie polskich wód przybrzeżnych przez statki wynosząca 30 dolarów, podczas gdy w portach zachodnich kara za najmniejsze zanieczyszczenie sięga kilku tysięcy dolarów — tak, że kapitanom obcych bander opłacało się specjalnie przyplwać do nas na generalnym mycia, wypróżniania, porządku. Przy takim stosunku do miejsca, w którym żyjemy i przy takiej ruchliwości prawa można spodziewać się najgorszego. Tym najgorszym może być odebranie pokoleniu naszych dzieci i wnuków szansy przetrwania ekologicznego.

Najgorsze jest jednak to, że wrażliwość na delikatną materię przyrody nie jest tylko sprawą instynktu zachowawczego, który rodzi przepisy, zakazy i kary. Istotniejsze i rozstrzygające jest to, iż wrażliwość na przyrodę jest elementem kultury osobistej i kultury społecznej, a nie tylko dwuznacznie rozumianej higieny: higieny czystej pościeli i higieny biwaku, z którego odjedziemy, ale na który już nie musimy powrócić, jak musimy powrócić do własnego łóżka. Człowiek, który we własnym mieszkaniu utrzymuje nieskazitelną czystość, najspokojniej wyjeżdża za miasto i na poboczu drogi lub w zagajniku wymienia olej w silniku, wylewając stary na trawę lub do rowu. Oto dwie kategorie higieny — czy też dwie kategorie kultury, teoretycznie nierozdzielne, praktycznie całkowicie osobne? A może to wszystko stanowi przedmiot tego, co można nazwać społeczną dyscypliną: tego nie wolno, więc nie robię. Ilu rolników obok głównego żagony ziemniaków podpeczędzone nawozem z worka, sady parę rzędów na obronniku, „dla siebie”?

Wszystkie podobne przykłady można rozpatrywać w przeróżnych aspektach: społecznej subordynacji, higieny czy zwykłej uczciwości, ale skutki są te same i to samo mają źródło — w kulturze, a ściślej w jej braku; w kulturze wrodzonej, a nie nabytej lub wymuszonej zakazami.

W tej sferze kryje się wiele możliwości i zaniedbań, ale nawet najbardziej subordynowane społeczeństwo, o najbardziej wysublimowanej kulturze indywidualnej i zbiorowej, nie obejdzie się bez materialnych nakładów na ochronę środowiska. Koszty cywilizacyjne rosną, toteż nakłady na obronę przyrody powinny w nich stanowić pozycjęoczesną, rosnącą. W ostatnim dziesięcioleciu nie zmniejszył się, a wręcz gwałtownie powiększył, dystans między rozmachem przemysłowo-urbanizacyjnych ambicji, a nakładami na zabezpieczenie się przed ich skutkami. Rezultaty są zastraszające. Śięgnijmy do najnowszej oficjalnej publikacji, do „Rządowego raportu o stanie gospodarki”. W dokumencie liczącym 128 stron, ochronie środowiska poświęcono niecałe dwie ale liczby i fakty tam przedstawione są przejmujące, zwłaszcza w dziedzinie zanieczyszczenia wód, tego naturalnego krwioobiegu przyrody. Czytamy tam: „Udział wód czystych, (klasa I) zmalał z około 25 proc. długości rzek w roku 1970, do około 10 proc. w roku 1977, a wód najbardziej zanieczyszczonych (klasa III) i nie odpowiadających normom wzrósł z ok. 46 proc. do ok. 57 proc.”

Tak więc w ciągu zaledwie ośmiu lat o więcej niż połowę (o 70 proc.) zmniejszyła się długość rzek czystych. Rozpoznanie urywa się na 1977 roku. Co zmieniło się w okresie następnym lat? Jeżeli prawdą jest, że taki stan środowiska przyrodniczego, jaki stan gospodarki, to wzięwszy pod uwagę katastrofalny rozwój sytuacji gospodarczej od 1977 roku do dziś, można tylko snuć ponure wizje na temat aktualnego stanu naszych wód. To spojrzenie Raportu na nasze wody z lotu ptaka nie oddaje grozy sytuacji jednostkowych.

Posłużymy się zatem spojrzeniem departamentu ochrony przyrody Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. W opracowaniu przygotowanym niedawno na konferencję prasową leśnicy stwierdzają na wstępie „Lekkomyślna gospodarka wodno-ściekowa może w krótkim czasie doprowadzić do sytuacji katastrofalnej — już w tej chwili większość naszych rzek zaliczana jest do III klasy czystości, a jeziora wykazują szybki postęp eutrofizacji” (nadmiar substancji pokarmowych i coraz większe zużycie tlenu — przyp. H. P.) Po tym stwierdzeniu padają przykłady: odprowadzania ścieków nawet na tereny parków narodowych, m. in. Kampinoskiego (gdzie pikanterii dodaje fakt, iż jednym z trucicieli, obok sanatorium dziecięcego, wymienia się Instytut Ekologii PAN); parku Karkonoskiego i Wielkopolskiego. Pod tym względem w gronie 14 parków narodowych chlubnym wyjątkiem jest Roztoczański, którego wszystkie wody zaliczane są do I klasy czystości. Pytanie tylko, jak długo to potrwa?

Ogromne zagrożenie dla wód, rzek i jezior nieścisłe intensywne a zwłaszcza niewłaściwe nawożenie. Wypłukane związki potęgują nadmierną żyzność wód (wspomniana eutrofizacja) i uniemożliwiają ich samooczyszczanie. Cierpią na to wody parku Kampinoskiego i Świętokrzyskiego oraz jeziora mazurskie.

Co do zanieczyszczeń powietrza przeciętny obywatel ma już konkretniejsze doświadczenia. W miastach nie ma czym oddychać. Przychodzą dni, pory roku, czy nawet godziny, kiedy wydzieliny spalin samochodowych, pyły, dymy i związki chemiczne emitowane przez fabryki tworzą namiaszkę angielskich smogów, w których człowiek czuje się jak pod kloszem. Czystym powietrzem nie można już oddychać nawet w niektórych parkach narodowych czy uzdrowiskach, a Zakopane szczyty się już klasycznymi smogami. Rośnie zawartość tzw. metali ciężkich w glebie, jako rezultat zanieczyszczeń przemysłowych, a ostatnio obfowi w roślinach, wzdłuż ruchliwych tras kołowych. Związki siarki, fluoru azotu i fosforu, wyrzucane w postaci gazów i pyłów, wywołują spustoszenie wśród drzew iglastych, a także zanikanie porostów, czego przykładem są tereny rezerwatu „Bukowa Góra” w stosunkowo czystym jeszcze Roztoczańskim Parku Narodowym.

Największe szkody spowodowane emisją gazów i pyłów wystąpiły na terenie Świętokrzyskiego i Wielkopolskiego parku narodowego, w rezerwach przyrody „Mercki”, „Zielona Góra”, „Segiet”, we wszystkich rezerwach województwa krakowskiego i wielu innych rezerwach na terenie całego kraju. Według danych z 1978 r., do których zresztą wypada odnieść się ze zrozumiałą rezerwą, w strefie bezpośredniego oddziaływania przemysłu znajdują się 94 rezerwy przyrody.

Unowocześnianie technologii produkcji, a przede wszystkim instalowanie wydajnych filtrów to najlepszy sposób na ograniczanie zagrożenia „z powietrza”. Pyły łatwiej przechwycić, są też mniej szkodliwe, lecz z gazami gorsza sprawa. Potrzebne są kosztowne, głównie importowane filtry. To tłumaczy gwałtowny wzrost emisji siarki. Wspomniany tu Raport stwierdza, że obszar kraju, zatruty siarką ponad dopuszczalne stężenie, wzrósł z 3,5 proc. powierzchni w 1973 roku do około 10 proc. w 1979 roku. Dodajmy do tego obrazu kurczenie się przestrzeni życiowej w wyniku erozji gleb. Powodują ją działania atmosferyczne, ale głównym sprawcą jest człowiek: przemysł, budownictwo, a także rabunkowa gospodarka leśna. Tylko na samych szczytach resortu leśnictwa znają zbiorcze fakty i liczby obrazujące to, co nazywalem tu rabunkową gospodarką leśną. Owemu przeciętnemu obywatelowi, na którego powoływałem się w tej publikacji już kilka razy, nieznane są rozmiary bezlitosnego trzebień starodrzewiu w pogoni za eksportem. Tartaki pracowały na trzy zmiany „podkręcając” produkcję eksportową, a całe hektary pięknej, eksportowej tarcicy, to przecież stałe elementy składowisk leśnych, portowych. Niektóre, obszarowo dobrze zalosowane województwa mają po 50 proc. lasów w wieku do 40 lat, czyli powojennych. W myśl odwiecznej zasady wszelkich straconców: po nas, choćby kamień na kamieniu!

Dziennikarz, który bierze za temat swojej publikacji los przyrody w tym kraju, eufemistycznie zwanej środowiskiem człowieka, w krótkim czasie zderza się z tak przerażającą listą przykładów wręcz dywersyjnej działalności niszczyielskiej, że przykłady zwykłej obojętności na los przyrody, nierychłości i nieskuteczności prawa, przeróżnych ustaw i lokalnych zarządzeń, stają się czymś zupełnie naturalnym, immanentną cechą naszego życia społeczno-gospodarczego. W tym kontekście zupełnie zrozumiałe staje się prestiż i status ludzi walczących o tę sprawę, przeróżnych działaczy — społeczników, „ligi ochrony”, „miłośników”, itp. stukniętych ludzi. W tym samym kontekście trzeba nieść, ustawić dostojne, bo już 62-letnie ciało Państwowej Rady Ochrony Przyrody ze wszystkimi jej centralnymi i wojewódzkimi przybudówkami. Trudno bowiem zrozumieć, dlaczego nadal nazywa się Radą Ochrony, a nie Obrony Przyrody.

Pierwsza walka powietrzna

Dokończenie ze str. 1

Kierunku wraku. Nagła myśl zahamowała jednak mój rozpęd i z taką samą szybkością zawróciłem, by wyłączyć silnik. Perspektywa ucieczki pilota niemieckiego na mojej maszynie wyglądała w tych warunkach niemal na fantazję, ale wołałem wykluczyć taką możliwość. Dla nie zaznajomionego z armaturą mego samolotu pilota nieprzyjacielskiego zapuszczenie silnika stanowiłoby poważną przeszkodę w sprawieniu mi brzydkiego kawału. Rączkę od rozrusznika schowałem pod fotel i dopiero wtedy ruszyłem z powrotem do henschla.

Spodziewałem się znaleźć załogę wewnątrz samolotu: rannych lub zabitych. Jednak siedzenia były puste, a obok kabiny pełne krwi. Natychmiast rozpocząłem poszukiwania Niemców. Na przedłużeniu kierunku przymusowego lądowania, w odległości jakichś 15 metrów po przeciwnej stronie wąziutkiego strumyka, zobaczyłem białą płachtę rozwiniętego spadochronu, a obok — leżącą postać. Przeskoczyłem strumyk i znalazłem się wobec pierwszej widzialnej przeze mnie ofiary wojny. Niemiec leżał na wznak, cały we krwi, nieprzytomny. Jego otwarte usta, pokryte pianą, zakrwawione, charczały. Widocznie przy uderzeniu o ziemię lotnik został wyrzucony z samolotu, a zaczepiony o coś spadochron rozwinął się sam.

Nie było jednak nigdzie widać drugiego członka załogi. [...] Chwilę jeszcze rozglądałem się uważnie, przetrząsając wzrokiem okoliczne krzewy i zagajnik, ale nie nie świadczyło o obecności poszukiwanego. Postanowiłem więc tymczasem w miarę swoich zdolności przyjąć z pomocą ciężko rannemu. Zaledwie zdążyłem zwinąć spadochron i ułożyć go w taki sposób, by stanowił posłanie dla Niemca, gdy dobiegli do nas pierwsi ciekawsi. Zwróciłem się do nich, aby przeszukali skraj leżącego nieopodal lasu, gdzie prawdopodobnie szukał schronienia drugi Niemiec. Wszyscy mężczyźni rozbiegli się we wskazanym przez mnie kierunku. Pozostała przy mnie jakaś kobieta, która pomogła mi przenieść rannego na prowizoryczne łóżko. Następnie skierowałem się do rozbitego henschla, w którym uprzednio zauważyłem apteczkę. Wybiłem ręką sztuczne szkło i wygarnąłem całą jej zawartość w postaci różnego rodzaju opatrunków, nożyczek, strzykawek i rozmaitych medykamentów, o których przeznaczeniu nie miałem nawet zielonego pojęcia. Nożyczkami rozciąłem rękawy munduru i koszuli, ostrożnie ściągając z rannego całe okrycie. Ciężka rana przestrzelonego na wylot barku spływała obficie krwią. Korzystając z pomocy uczynnej kobiety przemylem twarz lotnika czystą wodą ze strumyka, ranę załatałem jodyną, po czym przykładając tampony obandażowałem możliwie najmocniej, by zatamować krwotok.

Właśnie zabieraliśmy się do przeniesienia rannego, gdy podniósłszy głowę rzuciłem przelotnie wzrokiem w stronę pobliskich krzewów. Odniosłem wrażenie, że coś się w nich poruszało. Ułożyłem rannego z powrotem na ziemi i poderwałem się na nogi, pilnie wypatrując. Tym razem nie miałem już wątpliwości: odróżniłem wyraźnie sylwetkę człowieka w kombinie, który tylko nieznacznie odbijał swą barwą od otaczającej go zieleni.

Skończyłem kilka kroków naprzód i wykrzyknąłem jedyne znane mi niemieckie słowo: „Halt!”, po czym już po polsku dodałem „Ręce do góry”. Sięgnąłem jednocześnie do kieszeni po pistolet, lecz zamiast pistoletu ręka natrafiła na srebrną papierošnicę. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że w chwili alarmu rzuciłem pistolet na ziemię.

Trzeba się było decydować. Szybkim ruchem wyciągnąłem papierošnicę i imitując nią uzbrojenie, skierowałem wprost na Niemca. Niemiec się poruszył, podniósł z trudem ręce do góry i ciągnąc za sobą jedną nogę wyszedł wolno z krzaków. Opuściłem wtedy rękę, by nie dojrzał z bliska, iż moja szturmowa broń jest przedmiotem absolutnie do walki nieprzydatny. Widząc, że lotnik nie może iść, podbiegłem do niego. Odebrałem mu mauzera, poczęstowałem papierosem z domniemanego pistoletu. Uśmiechnął się przez ból, kiwnął głową i biorąc papierosa wyjąkał: „Danke schön”. Obawy moje teraz dopiero wydały mi się śmieszne: ranny Niemiec był niezdolny do jakiegokolwiek wrogię odruchu lub ucieczki. Przerzuciwszy jego rękę na swój kark, poprowadziłem do towarzysza niedoli. Ułożyłem go obok na miękkiej powłoce spadochronu. Dałem mu paczkę „egipskich” i zapalki, po czym powróciłem do czynności samarytańskich.

W chwili gdy lewą ręką uniosłem lekko do góry rannego, podpierając się jednocześnie prawą o ziemię, by umożliwić kobiecie przeciągnięcie bandaża, Niemiec, który przez cały czas obserwował pilnie nasze czynności, nachylił się i zupełnie nieoczekiwanie pocałował mnie w rękę. Cofnąłem ją jak oparzony. Na krótki moment wzrok nasz się skrzyżował. Moje oczy nie wyrażały chyba nic prócz zdziwienia, w jego dojrzałym wyrazie wdzięczność. Na uśmiech odwzajemniłem się również uśmiechem. Wiedziałem, że mój ludzki obowiązek nakazywał mi spełnić to, co czyniłem teraz, do końca. Winien tragedii był przecież ktoś inny — ten, kto rzucił nas przeciwko sobie.

— Ja już skończę sam, a pani niech tymczasem zabierze się do tego drugiego — powiedziałem do pomagającej mi kobiety. Chwyciła nożyce i nachyliła się nad drugim pacjentem. Ale ten począł mówić coś szybko w niezrozumiałym dla nas języku. Z gestów raczej wywnioskowałem, że chodzi o protest.

— Co się stało? — zapytałem po polsku, patrząc w jego stronę.

— Nie wiem — odrzekła zdziwiona. — Nie chce się dać dotknąć.

— Nein, nein, Flieger! — wołał Niemiec wskazując na mnie ręką.

Uśmiechnąłem się domyślnie. Kobieta wzszyła ramionami i pomogła mi w ułożeniu i przykryciu nieprzytomnego Niemca numer jeden.

Tymczasem powracali, gromadząc się wokół nas, ludzie, którzy poprzednio poszli na poszukiwanie zagubionego lotnika. Zrobiło się tłoczno. Tłum począł głośnie pomrukiwać pod adresem Niemców. „Lepiej ich na tę gałąź za nogi i głowę do wody, a nie opatrzywać jeszcze” — dochodziły mnie uwagi. — „Konia mi, cholery, ranili”. „Przez nich jutro muszę wyjeżdżać z domu, dostałem kartę powołania”.

Zrobiło się nieprzyjemnie. Wśród gapiów dostrzegłem mundur kolejarza.

— Dróżnik? — spytałem.

— Mhm — odburknął niechętnie zagadnięty.

— Niech pan natychmiast biegnie do swej budki i zatelefonuje do okręgowego szpitala w Toruniu. Proszę powiedzieć, żeby z polecenia oficera natychmiast przysłali sanitarkę po rannych. Niech pan opowie od siebie, co tu zaszło.

Dwie rany postrzałowe drugiego Niemca nie były groźne. Kości nienaruszone, krwawienie słabe. Wkrótce skończyłem z opatrunkami. W pobliżu pojawiła się jakaś postać w ciemnym ubraniu. Po koloratce poznałem, że to duchowny. Przyglądał się w milczeniu przez chwilę rannym lotnikom, potem zwrócił się do mnie:

— Panie poruczniku, czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym udzielił im pociechy duchowej, zwłaszcza temu ciężko rannemu? Jestem Niemcem i pastorem w tutejszej okolicy...

Wyraziłem swoją zgodę. Pastor zwrócił się po niemiecku do zdrowszego i przytomnego jeńca. Długo mu coś tłumaczył, czego nie zrozumiałem. Lotnik machnął ręką, odpowiedział coś krótko i ostro, następnie odwrócił się plecami. Pastor spojrział na mnie z goryczą. Raz jeszcze zwrócił głowę w kierunku leżących i z wyrazem współczucia rozłożył ręce. Przeprósł mnie i chciał odejść. Wtedy zapytałem, co powiedział ranny.

— Nie pragnął ode mnie żadnej pociechy ani nawet dobrego słowa. Zwymyślał mnie, że zwracam się do niego z takimi intencjami.

Patrzyłem w oczy pastora, człowieka starszego. Opuścił je ku ziemi; widocznie wstyd mu było przede mną. Milczeliśmy. Chwycił mnie za rękę, potrzaskał nią kilkakrotnie.

— Ciężko patrzeć na to, co się dzieje — wyszeptał z bólem. — Jako pastor i Niemiec dziękuję panu, poruczniku, za to, co pan dla nich uczynił. Niech Bóg ma pana w swojej opiece. Ukłonił się i odszedł ciężkim krokiem.

Zabrałem się do przeszukiwania kieszeni moich jeńców. Właściwie od tego powinienem zacząć, ale uważałem, że pierwszym obowiązkiem jest udzielenie pomocy rannym.

Dyskretnie odciąłem z kołnierza „mewki” i odznakę pilota. Rozgrzeszyłem się sam z tego niewinnego „rabunku”. W kieszeni jeńców znalazłem listy i fotografie dwóch blondynek o cukierkowej urodzie, legitymację pilota i obserwatora. Obaj byli moimi rówieśnikami. Jeden pochodził z Darmstadt, drugi z Królewca. Przytomny jeńiec przez cały czas bacznie obserwował moje poczynania. Gdy zwinąłem razem cały ten bezwartościowy z wojskowego punktu widzenia majątek, zwrócił się do mnie w niezrozumiałych słowach, wskazując na zawartość mej ręki. Zrozumiałem tylko słowo „Fräulein”, a błagalny wyraz twarzy, jaki mu towarzyszył, dopomógł mi zrozumieć prośbę. Zwróciłem mu legitymację, listy i fotografie. — Odznakę pilota i „mewki” biorę sobie na pamiątkę — powiedziałem po polsku. Uradowany Niemiec coś zaszargotał, z czego znowu zrozumiałem tylko „Danke schön”. — Dokonałiśmy jeszcze z mojej inicjatywy wymiany papierosów. Wziąłem paczkę jego „nilów” dając mu w zamian nie napoczętą paczkę „egipskich”. Widać było, że jest zadowolony z dokonanej transakcji.

Przeskoczyłem strumyk i w otoczeniu licznej świty ruszyłem do rozbitego samolotu. Przekonałem chłopca, któremu postrzelono konia, że uczynić to musiała z pewnością kula jednego z naszych samolotów, ponieważ Niemiec strzelał tylko do nas, do góry. Usiłowałem również przekonać zebranych, że ich pomysł z wieszaniem bezbronných jeńców jest niehumanitarny. Mówiłem im, że ci są już niegroźni, że wszystkie siły skupić musimy przeciw tym, którzy idą za nimi — silni i uzbrojeni po zęby. Chłopi poczęli się tłumaczyć.

— Racja, panie poruczniku, my tylko tak. Widzieliśmy tych drani, jak od świtu całą kupą szli na Toruń. Złóść człowieka bierze, ale jakby przyszło co do czego, to z pewnością nikt by im nie zrobił.

Zacząłem przetrząsać obie kabiny rozbitego henschla. Znalazłem furazętki, maski gazowe dwie „lajki” i najcenniejsze — dwie mapy w różnych skalach, na których oznaczony był region rozpoznania: naniesiono też inne szczegóły dotyczące prawdopodobnie kierunków planowanych uderzeń niemieckich. Tak więc rozpoznawczy samolot okazał się zdobyczą cenną. Ostrożnie zmyłem z map krew, następnie je osuszyłem. Zdobyłem zanośnię do swojej „jednostki”. Postanowiłem polecić wprost na lotnisko toruńskie, aby dostarczyć mapy jak najszybciej do sztabu armii.

[...] Ponieważ gromada gapiów nie ustąpiła po odjeździe rannych, oczeki-

jąc na dalsze wydarzenia, zwróciłem się z prośbą o pomoc przy starcie. Ochocho ruszyli ze mną do samolotu. Gdy spojrziałem na przedpole w kierunku startu, zrobiło mi się gorąco, przekląłem sobie w duchu, iż dałem się ponieść nerwom lądując na wertepach. Pole startowe było za krótkie, na domiar złego rosło tam trochę brzoź. Ziemia mięka, świeżo zorana. W pobliżu — nie lepszego. Ani marzyć o przekolowaniu maszyny na jakieś inne miejsce bardziej nadające się do odegrania roli pasa startowego. Postanowiłem próbować.

Wgramoliłem się do kabiny i zapuszczyłem silnik. Dodałem gazu, by odwrócić samolot o 180 stopni w kierunku startu. Ani drgnął [...] Koła ugrzęzły zupełnie w miękkiej ziemi, było wykluczone, bym mógł wykreślić. Przy pomocy ludzi oczyściłem łopatą zwalę ziemi dookoła podwozia, potem pokazałem im, jak unieść ogon i obrócić samolot w przeciwnym kierunku. Ponownie zająłem miejsce w kabine. Maszyna została ustawiona w kierunku startu. Jedno koło polecieć wprowadzić w koleinę po odwalonej plugiem skibie ziemi, co dało mi możliwość oparcia części podwozia na mniej więcej twardej nawierzchni. Spojrzałem jeszcze raz na przedpole i przeszkodę w postaci młodego brzoźowego zagajnika. Spojrzałem ze strachem.

Naciąłem miękką hamulce i lekko dodałem gazu. Gdy ogon zaczął drgać i unosić się do góry, puściłem hamulec przesuwając jednocześnie miarowo dźwignę gazu. Zwiniona maszyna kolyśając się po nierównym, grząskim terenie z lekkim zwisem w prawo poczęła się toczyć, powoli niabierając prędkości. Drzewa gwałtownie się zbliżyły. Nie czułem jeszcze na drążku dostatecznej szybkości, by poderwać maszynę. Przesunąłem lekko ster na siebie, błyskawicznie dokonałem oceny odległości i nie mając wyboru, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zdecydowałem się spróbować oderwać ją od ziemi. Drząc musnęła jeszcze kołami kilkakrotnie o odwalone skiby. Byłem w powietrzu. W pełnym napięciu ciągnąłem w górę na minimalnej prędkości, obawiając się zderzenia z drzewami. Zamigotały korony, usłyszałem niezbyt miły zgrzyt gałęzi na podwoziu i kadłubie. Czułe oblały samolot starając się go ściągnąć ku ziemi.

Po piętnastu minutach krążyłem nad dokładnie zrytym bombami lotniskiem toruńskim, szukając jakiegos wycinka nadającego się do lądowania. W końcu siadłem na wrzosowisku przylegającym do lotniska, wykorzystując w końcowym wybiegu polną drogę. Radość zapanowała wśród kolegów, gdy rzuciłem im czapkę niemiecką i inne „trofea” po zestrzelonych.

Na lotnisku stacjonował klucz obrony pod dowództwem podporucznika Jana Czapiewskiego. Kiedy wysiadłem z maszyny, Janek Czapiewski stał z obandażowaną głową. Wyjaśnił mi, że w czasie bombardowania oberwał po uchu odłamkiem. [...]

Rozmowę przerwał nam przyjazd „lajzika”, którym pojechałem do sztabu armii „Pomorze”. Złożyłem krótki meldunek pułkownikowi Stachoniowi, dowódcy sił lotniczych operujących w ramach dużej jednostki, oraz wręczyłem mu mapy wraz z aparatami fotograficznymi. Wiadomości z map okazały się bardzo cenne i natychmiast poszły na warsztat wydziału operacyjnego. Po wysłuchaniu sarkastycznego komentarza pułkownika na temat moich myśliwsko-samarytańskich wyczynów, zjedzeniu obiadu i odebraniu kopert z rozkazami dla kapitana Laskowskiego powróciłem na lotnisko, by odprowadzić klucz obrony na miejsce naszego postoju.

[...] Następnego dnia rano bez żadnych przeszkód wylądowałem na naszym lotnisku. Kapitan Laskowski wiedział już o moim wyczynie od pułkownika Stachonia. Zakazał mi kategorycznie powtarzania czegoś podobnego w przyszłości.

— A pańscy jeńcy — dodał — nie znajdują słów uznania za opiekę, jaką im pan otoczył. Prośili, by koniecznie podać im pańskie nazwisko. Tak byli natarciwsi, że musiano zaspokoić ich ciekawość, co, sądząc, wcale panu nie zaszkodzi, gdyby kiedyś spotkał pana podobny los.

Zrobiło mi się niezbyt przyjemnie. Pomysł Laskowskiego nie był przecież tak bardzo nierealny. Wojna dopiero się zaczęła.

Stanisław Skalski

(Fragmenty te pochodzą z książki „Czarne krzyże nad Polską”, Wydawnictwo MON, Warszawa — 1957. Tytuł pochodzi od redakcji)

„Więc nie daremna była krew ulana
Zakrepla w gicazdki dla mrówek pod brzoź?”
Czesław Miłosz

WSZYSCY mamy kompleks Września. My, którzy jesteśmy Polakami nie tylko dlatego, że urodziliśmy się akurat w tym kraju, że jako tako mówimy po polsku. My, Polacy, że jako tako dobre i na złe, nosimy gdzieś w świadomości czy w podświadomości bolesną zadrgę roku trzydziestego dziewiątego. Nie ją jedyną i pewnie nie najbardziej bolesną...

Tkwi ona i we mnie. Siedzi głęboko jak grot od strzały między żebrami Maćka z Bogdańca, a że nie piję niedźwiedziego sadła, nie ma i nadziei, by ze mnie wyszła. W sierpniu pieczę najbardziej. Kiedy zbliża się wrzesień, obskakują mnie wspomnienia. Natrętne? A może to ja wobec nich jestem natrętny, może ich szukam, wołam, żeby tę moją zadrgę rozogniły, rozdarły, żeby nie dały jej zarosnąć tłuszczem obojętności.

Mam w domu, w zagraconym pokoiku, gdzie śpię i pracuję, cały zestaw rekwizytów, z których każdy jest tam po to, by moją zadrgę jątrzyć, rozbudzać, ożywiać. Nad wyrkiem do spania, na żołnierskim kocu dwie szable. Nie jak dekoracja malowniczo upozowana pod patriotycznym ryngrafem. Wiszą pod starym mosiężnym krzyżykiem wyorany w ziemi (może jeszcze z 1863 roku?), w zasięgu ręki, jak przedmiot użytkowy, jak szpicruta w kacie, jak ostrogi na ścianie, przy ojcowskiej fotografii w mundurze podporucznika ulanów.

Na szafie z książkami rogata czapka, hełmy: piechociński, szurpata, kopulasty, świetny polski wyrób — i francuski grzebieniasty, lekki, noszony we Wrześniu przez kawalerię. W szafie plik fotografii, stos pudełek po czekoladkach. W nich orły, nie tylko zresztą te z Września.

Każdy z tych rekwizytów to któryś z wrześniowych kompleksów, to jakaś część zadrgi, co już tak dawno zaryła się w moją świadomość; w przedhistorycznych czasach, w szóstym roku życia. W okresie, z którego na ogół człowiek niewiele pamięta. Chyba że zapadną mu w lepetynę obrazy; jakby filmowa taśma, którą — choć porwana i wyblakła — można jeszcze czasem wyświetlić.

Biorę do ręki sztywną oficerską czapkę. Galony, gwiazdki, orzeł, okuty daszek, barwny otok. Już wtedy, przed wojną, wiedziałem, że granatowy to piechota, ciemnozielony — artyleria, czarny — saperzy, że krasne, białe, różowe, niebieskie czy żółte to kawaleria, nade wszystko ulani. Czapka to rekwizyt z jeszcze starszego filmu, bo przecież nie było takich we Wrześniu, na wojnie. To wspomnienie z defilady, z niedzielnych spacerów z Ojcem, z zawodów konnych...

Dość było wyjść na miasto, nawet nie w niedzielę, w pogodny letni dzień przed wieczorem, kiedy żołnierze z przepustki wracali do koszar. Widziało się wtedy zgrabne sylwetki w rogatych, zadzierzastych czapkach, ze srebrem wężyków na patkach u kołnierzy, w dopasowanych kurtkach z błyszczącymi guzikami, opięte pasy, bagnety.

A cóż dopiero na defiladzie, czy tam na innej wojskowej gali. Rypało to bractwo podkutymi buciorami po bruku aż iskry leciały. I tylko bęben walił: buch, buch, buch... A może to serce pięcioletnie, przejęte, wyrwijające się ku wojsku? A tam karabiny, hełmy, na przodzie połysk szabel i oficerskich butów. Ostrogi. No, a potem cekaemy na biedkach (wtedy mawiano pieszczotliwie „maszynki”), armaty. A wreszcie kawaleria. Tego już nawet opisać się nie da. Konie, lance, proporczyki, srebrzysty, radosny dźwięk trąbek.

Lato tego roku było dziwnie piękne. Tylko czemu nie wyjechało się na letnisko jak zawsze? Mo-

że i lepiej? Bo w mieście — choć skończył się defiladowy maj — nie ustawały parady, przeglądy, uroczyste msze. I znowu te wspaniałe hełmy, karabiny. Mundury już polowe, bez patek i haftów, długie spodnie ze spinaczami. Sztandary. Oficerskie szable. Byszczące buty.

A potem jechały pociągi. Pełne roześmianych żołnierzy. Ze to niby na manewry. Tylko nie wiedzieć czemu — patrząc na te pociągi, czytając gazety — wyliczano „przyjaciół” Polski: Anglię, Francję... Zwłaszcza od sierpnioowego dnia — jakoś tak pod koniec miesiąca — kiedy to w gazetach pokazały się okolicznościowe fotografie nie wróżące Polsce nic dobrego.

Któregoś dnia powiedziano, że wybuchła wojna. Znowu te pociągi, maszerujące wojsko. Żołnierze

dyś od strony wsi (dom stał na uboczu, pod lasem, w dużym sadzie). Skoczyło się do okna czy do plotu. Był słoneczny, niemal upalny dzień. A wiejską drogą rwały pełnym gazem tankietki, dwie czy trzy. Nasi! Żłudna nadzieja. Przejechali i tyle ich było widać.

Na wsi, po sadach znajdowało się porzucone siodła, szable, karabiny. Na drogach tu i ówdzie wydymał brzuch zabity koń. A w przydrożnych rowach poniewierały się hełmy. Te hełmy. Nasze... Kiwali głowami chłopci, ni to z dumą, ni to z żalem.

Chodzili różni ludzie. Opowiadano rozmaite wieści. Te gdzieś uleciały, co tam przedszkolakowi po polityce. Ale jedna została: o ulanach, co granatami rozbijają czołgi. Dzielni ci ulani! Ale jakoś

WRZESNIOWA ZADRA

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

koczujący na skwerach. Kopanie rowów przeciwlotniczych w żółtej glinie. Robienie zapasów. Szyście masek „przeciwgazowych” (takich, na które trzeba było siusiać). Zaklejano okna paskami papieru. Słuchano radia. Mówiono coś o przerwaniu frontu...

I nagle przyszedł nalot. Alarm — jak wtedy mówiono. Zawył syreny. Zeszło się do piwnicy. A zaraz potem warkot motorów, świst, wybuchy, serie wystrzałów. Ktoś pocieszał, że to nasza artyleria. Diabła tam! Może najwyżej jakiś cekaem. Ale najprawdopodobniej to Niemcy siekli po bezbronnym mieście.

Urwały się parady, spacer, gapienie się na wojsko. Drugi nalot. Trzeci. Gdzieś się paliło. Jeździła straż pożarna. Szły wieści, że Niemcy coraz bliżej. W mieście, w rozgardiaszu, w oczekiwaniu nalotów, wycia syren i świstu bomb trudno było usłyszeć. Toteż wyjeżdżał kto mógł.

Patrzę na hełm. Ten polski, z gruzłowatą farbą. Znalezione zresztą na strychu. I zaraz film. Już nie ten z defilady ani nie ten o nalotach. Wiesz o-kazała się złudnym azylem. Choć z początku zapowiadało się niemal letniskowo. Co prawda trzeba było jechać tu nocą, po kolejnym nalocie, na wół śpiąc niefrasobliwym, dziecięcym snem. Jechać drogą zatłoczoną przez wozy, konie, samochody. Trzeba było żegnać się z Ojcem, na którego się potem czekało latami, choć już w kilka miesięcy potem dopadła go kula.

Ale na wsi było niemal letnisko. Jak to na wsi. Tyle, że po niebie przesuwali się wysoko ledwie widoczne srebrne krzyżki samolotów, a gdzieś zza lasu słyhać było groźne pomruki, burzy nie burzy. Coraz bliżej. Wreszcie można było odróżnić salwy armatnie. Niedaleko przetaczała się wielka bitwa. Do wsi nie dotarła, ale sięgały tu jej rozpryski.

Znowu kazano schodzić do piwnicy (jadło się tam razowy chleb i ogórki). Potem uciekano do lasu. Niby przed czołgami, co warczały od drogi. Były tam zresztą i polskie czołgi. Zaterkotało kie-

wówczas nikomu nie przyszło do głowy, żeby wymyśleć szarżę na czołgi. Mało było czasu na myślenie...

Kiedys przydyrdał ranny żołnierz o kiju. Może to jego koń leżał na drodze? Może to jego kulbakę chodzącego się oglądać w krzaki malin? Nabożnie dotykało się szablą przyczepionej pod tybinką. Z respektem gapilo się w ciśnięty w trawę karabin. A może by spróbować? A nuż wystrzeli! Innego razu przygalopował koń. Beż jeźdźca. Rżał żałośnie. Pił wodę i pił. Bardzo głodny. Gryzł słomę.

Czapka połowka. Miękka. Wygodna. Prawie taka jak dziś. Z haftowanym orłem. Niby inna od tych sztywnych, paradnych, ale jak one rogata, zadzierzysta. Ile się to widziało takich czapek już potem, po powrocie do domu. Chodziły po mieście gromady żołnierzy, takich, co to „bez broni, bez orla na czapce”. Wracali z przegranych bitew. Szukali chleba, noclegu. W tych miękkich czapkach, w rozpiętych zabłoconych płaszczach, z kocami przez ramie, z chlebakami, o kijach. Potem całe ich kolumny prowadzono do niewoli. Wieziono rannych do szpitala. Wreszcie gdzieś znikli. Tylko na cmentarzu pojawiły się rzędy nowych grobów. Na krzyżach hełmy. Polskie, szurpate, kopulaste, i francuskie, z grzebieniem, jeśli poległy był kawalerzysta.

Wrześniowe pamiątki. Cóż to dziś? Ekspozaty na wystawę, rekwizyty do filmu. Pożywka dla niewesołych wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Wspomnień o urwanych defiladach i o wojnie na pozór przegranej przez najpiękniejsze w świecie wojsko.

Tkwi we mnie głęboko ta bolesna wrześniowa zadra. Ale choć czasem pieczę, nie dam się jej zbliżyć. Jej ni innym... Może to głupi polski sentymentalizm? Szmataki, blaszki, stare fotografie, szable z napisem „Honor i Ojczyzna”... Grzebanie się we wspomnieniach, w historycznej rekwizytorni. Ale przecież bez tego nie byłbym sobą. Nie byłibyśmy sobą. „Więc nie daremna była krew ulana?” — Jeszcze zbyt wcześnie na odpowiedź.

Kazimierz Wierzyński

MODLITWA ZA ZMARŁYCH W WARSZAWIE

Wieczne odpoczywanie
Racz im dać, Panie,
Na Powązkach, na placach, na skwerach,
Pod ruinami domów,
W zasypianych piwnicach,
Tam, gdzie kto padł,
Gdzie umierał.

Ofiaruj im pokój zaświatowy
I na mogiły pośpiesz z pomocą,
Bo trzeba było z miejsca na miejsce,
Spód trotuaru pod kamień grobowy
Już uleżałe przenosić głowy
I sen ich naruszać nocą.

Wyróżnij nieznanym i bezimiennym
Światłem, które wieczyste połyska,
Bo cóż im z ludzkiej, doczesnej pamięci,

Kiedy pod krzyżem i hełmem pośnięci
Nie mają nawet nazwiska.

Niech serce Twoje ich wynagrodzi
I od najbliższych odejść pomaga,
Bo matkom, co kładły im bandaże na skroni,
Szeptali wargą stygnącą w agonii
Jak miłość i jak zakłęcie:
Mokotów, Praga,
Okęcie.

Odbierz im rany, pozwól zapomnieć
O nocach w męce i dniach bez ratunku,
Bo gdy pod ścianą rozbitych szpitali
Marli bez wody i opatrunku,
Cisza z przedpola zapadła złowroga
I nie koledzy ich salwą żegnali,
Lecz werbel zwyciężski wroga.

Spójrz, sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
Bo z krwi i mąk ich, nad miasto, nad gruz,
Na niebotyczne, ogromne pożary
Gorzkim rozwiane dymem,
Los nasz się dźwigał wysoki i w burzy
Stoi przed nami olbrzymem.

Spójrz, sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
Na wolność, co rośnie z nich nieprzerwanie,
Choć gasła z każdym pospołu:
Otwórz niebieską przed nimi bramę,
Do wojujących zalicz kościołów,
Zachowaj moc ich i oddaj im, Panie,
Ziemię ojczyzną na wieczne władanie.

Amen.

PROBLEM wolności rozpatrywany był w dziejach — przede wszystkim na gruncie historii filozofii — w różnych aspektach: a więc zarówno jako zagadnienie wolnej woli i wolności przekonań, jak też jako problem socjologiczny — polityczny i ekonomiczny. Od dawna też zastanawiano się nad tym, czy i jak dalece możliwa jest wolność; nad tym, czy i jakie przeszkody możliwe są do pokonania na drodze do jej realizacji. Czy wolność możliwa jest bez konieczności i jak dalece łączy się z nią i przeplata nawzajem? Antynomie wolności, to temat wielu filozoficznych rozpraw i rozważań.

Nie wnikając jednak głębiej w ontologiczne tajniki istnienia wolności i wolnej woli, zacznijmy od tego, co i dlaczego najczęściej i w sposób najbardziej oczywisty ogranicza ludzką wolność. Ogranicza ją już chociażby

których się tak nie mówi. Bo przecież całkowicie niezależny od społeczeństwa nie jest ani człowiek pozbawiony rodziny, ani nawet milioner, którego wolność ograniczana jest np. przez złodziei i kidnaperów. Wolność artystów jest zaś ograniczana bardzo często przez producentów i impresariów. Per saldo jednak są oni niezależni bardziej niż inni ludzie. Otóż wolność, to właśnie ta większa niezależność od pewnych determinant jednych w porównaniu z drugimi.

Prócz wolności od czegoś w rozprawach filozoficznych na ten temat mówi się dość często o wolności do czegoś. Lecz, o ile ta pierwsza jest sprawą raczej jasną, to ta druga (wolność do czegoś) już nie. Jak bowiem można być wolnym do, a nie od, jakiejś określonej rzeczy lub osoby? Brzmi to paradoksalnie nawet ze

sprawie takiej jak ta, czy pójść do kina, czy na obiad, ale czy tak jest również w sprawie wyboru np. między życiem a śmiercią? Według egzystencjalizmu również i w tego rodzaju sprawach; ale w istocie przecież tak nie jest i być nie może, bo wówczas nie byłoby prawdopodobnie niedoszłych samobójców; nie każdy i nie zawsze może wybrać po prostu śmierć. Egzystencjaliści sprowadzali zaś do tego niemal każdy wybór. Wybory mniej ważne były podporządkowane nie-temu zasadniczemu i znajdowały w nim swoje potwierdzenie. Ale do tak pojętej wolności można mieć jeszcze inne zastrzeżenie. Ludzi interesuje wolność, ale taka, którą można przeżywać i cieszyć się nią, tj. w granicach życia. To prawda, że wybierając śmierć można wykazywać wolność, ale nie jest to już wolność żywych, lecz martwych; mamy tu do czynienia z

WSZYSTKIE projekty reformy gospodarczej przewidują ograniczenie lub likwidację systemu nakazowo-rozdzielczego i dominującą rolę czy wyłączność instrumentów ekonomicznych jako formy oddziaływania centrum na przedsiębiorstwa i inne organizacje gospodarcze. Umożliwi to likwidację wszechobjętującego centralizmu biurokratycznego i wprowadzenie demokracji ekonomicznej. W związku z tym ulega ograniczeniu do niezbędnego minimum liczba oraz rola ministerstw branżowych i innych urzędów tego typu, kreujących dyrektywy dla podmiotów gospodarujących (przedsiębiorstw i innych organizacji) i stanowiących ostoję całego systemu centralizmu biurokratycznego w gospodarce. Projektowane zwiększenie roli ministerstw (organów) tzw. funkcjonalnych kreujących parametry, oddziałujących na przedsiębiorstwa przy pomocy instrumentów ekonomicznych, oraz oparcie działalności przedsiębiorstw na zasadach rzeczywistego rozrachunku gospodarczego i autentycznej samorządności pracowniczej stawia problem modelu kształcenia wysoko kwalifikowanych kadr ekonomicznych. Kadry te powinny posiadać umiejętność prowadzenia rachunku ekonomicznego, sprawnego posługiwania się instrumentami ekonomicznymi w skali makro, mezo i mikro, oraz podejmowania optymalnych decyzji zarówno z ekonomicznego, jak społecznego punktu widzenia.

FILOZOFICZNE ASPEKTY WOLNOŚCI

HENRYK BOROWSKI

to, że, poza wszelkimi naszymi właściwościami, jesteśmy istotami biologicznymi; posiadamy po prostu ciało, które musi być odżywiane i odżywane, chronione przed chorobami i przed działaniem warunków atmosferycznych. Nawet niewielkie osłabienie naszego organizmu lub choroba może przecież ograniczyć wolność i swobodę poruszania się. Wolność ograniczają również warunki geograficzne i klimatyczne. Powodzie, roztopy, ostre zimy, ulewne deszcze utrudniają kontakt człowieka ze światem. Jeśli zaś ktoś urodził się na odludziu i nie ma warunków przeniesienia się stamtąd gdzie indziej, to nierzadko przez całe życie nie zmienia miejsca pobytu. Wolność ograniczają wreszcie naród, państwo, społeczeństwo i w ogóle ludzie, z którymi się współżyje. Można tu wymienić i służbę wojskową, i miejsce pracy, i rodzinę, i sąsiadów itp. Dzieci ograniczają swobodę rodziców, rodzice zaś swobodę swych nie zawsze tylko najmłodszych dzieci.

O wolności i jej ograniczeniach mówiono od dawna i w różnych epokach. O czym mówi się więc używając tego wyrazu? Czy słowo to w ogóle coś znaczy?

Słowo „wolność” jest pojęciem abstrakcyjnym i dlatego też niełatwo uchwycić jego właściwy sens; ale, ponieważ jest to rzeczownik pochodzący od przymiotnika „wolny” (wolny od...), to, chcąc poznać jego właściwą treść, należy wrócić do przymiotnika i zbadać ów sens u samych źródeł. Pierwotny sens (przymiotnikowy) jest bowiem łatwiej uchwytne aniżeli wtórny — jako i skomplikowany w abstrakcyjnym pojęciu, jakim jest pojęcie „wolność”. Okazuje się wówczas, że „wolność” znaczy po prostu, że ktoś jest od kogoś lub od czegoś niezależny, że jest po prostu wolny od czegoś. I nie chodzi tu bynajmniej o wolność w ogóle, wolność abstrakcyjną, gdyż „wolny” oznacza tylko wolność od pewnych określonych determinant, a nie wolność od wszystkiego. W ten sposób każdy, albo prawie każdy, może być w mniejszym lub większym stopniu wolny od czegoś, od czegoś określonego. I tak np. człowiek obarczony liczną rodziną jest bardziej uzależniony od ludzi i współżycia z nimi niż człowiek samotny. Tabor cygański — w mniejszym stopniu niezależny od stałego miejsca pobytu aniżeli mieszkający wsi i miast. Milioner — w mniejszym stopniu niezależny od trosk życia codziennego aniżeli człowiek borykający się z różnymi trudnościami i pozbawiony środków do życia. Przedstawicielem tzw. wolnych zawodów — w mniejszym stopniu (jeśli bierzemy pod uwagę dyscyplinę pracy) aniżeli osoby pracujące w określonych godzinach. Aczkolwiek pod innymi względami może być przecież inaczej: i ci, o których się mówi, że są wolni, mogą pod innymi względami być bardziej zdeterminowani niż ci inni, tj. ci, o

względów czysto językowych. Kant wyjaśniał to w ten sposób, że wolność może determinować naszą wolę, może pobudzać nas do działania; co stanowi zresztą warunek konieczny, by działanie miało charakter moralny. Zasada ta nie stanowi jednakże warunku działania o charakterze pozamoralnym, które determinowane jest, według niego, przez skłonności (uczucia i bodźce) o charakterze naturalnym. Wprawdzie wolność determinuje naszą wolę do działania moralnego, ale, jak to się dzieje, to sprawa, według Kanta, niezgłębiona; albowiem pozaempiryczna i możliwa tylko do pomyślenia. Wolność stanowi zatem, według niego, ideę rozumu.

Tak rozumiana wolność wiąże się — według Kanta, i nie tylko zresztą według niego — z myśleniem. Wiąże się zaś dlatego, że pomyśleć jest łatwiej niż zrobić. Łatwiej jest więc być niezależnym w myśleniu niż w działaniu. Im łatwiejsze działanie, tym łatwiej można zmanifestować swoją wolność. W działaniach trudnych myślenie musi być wzmożone przez impulsy innego typu; przez uczucia. Impulsy te mogą jednak zdominować myślenie i wyrwać się spod ich kontroli. W ten sposób człowiek może łatwo utracić swobodę manewru: panowanie nad sobą. Wtedy to myślenie staje się dodatkem do emocji i przechodzi na ich usługi. Zasada wolności od czegoś, a w tym przypadku od pobudek zmysłowych, zachowuje wtedy walor również w sferze woli. Ale widąc tu także obecność innej zasady: wzajemnego przenikania się wolności i konieczności.

Jeszcze inne tłumaczenie owej wolności polega na tym, że rozumie się ją tak, jak prawo do... czegoś: jak np. prawo do pracy, prawo do nauki, zrzeszania się itp. Ale, o ile prawo do tych, czy innych działań jest na ogół rzecz biorąc zrozumiałe, to niezupełnie zrozumiała jest wolność do... Po co zresztą zastępować to, co jest bardziej zrozumiałe tym, co jest zrozumiałe w mniejszym stopniu lub całkiem niejasne? Ale to jeszcze nie: każdą taką wolność do (albo prawie każdą) można zastąpić wolnością od. Zamiast mówić np., że ktoś ma (prawo) wolność do nauki, można przecież (będąc bardziej zrozumiałym) powiedzieć, że ktoś jest wolny od ograniczeń pod tym względem; zamiast mówić, że ktoś ma wolność do zrzeszania się w określone związki i organizacje — można powiedzieć, że nie jest pod tym względem ograniczony, czyli, że jest wolny od zakazów dobrowolnego zrzeszania się w różne związki i organizacje.

Wolność bycia wiązana i wiąże się dość często z możliwością wyboru. Teza ta jest oczywiście słuszna tylko do pewnego stopnia: wybór może bowiem stanowić wolność i stanowi ją często do momentu podjęcia decyzji; potem — po jej podjęciu — wszystko już dzieje się i wyjaśnia według praw koniecznych. Jeśli mamy ochotę jednocześnie pójść do kina i na kolację, to — wahając się — jesteśmy niewątpliwie wolni. Wszystko wygląda inaczej, potem: po podjęciu decyzji.

Według egzystencjalistów wolność sprowadza się do wolności wyboru. Człowiek jest zawsze wolny, ponieważ zawsze może wybierać. I to zarówno w sprawach błahych, jak i też w sprawach istotnych. Ale, czy tak jest zawsze? Czy może dokonywać wyboru w każdej nawet najtrudniejszej sytuacji? W sprawach nieistotnych, niewiele znaczących, z pewnością tak: jak np. w

wolnością w pewnym tego słowa znaczeniu nierealną, nierzeczywistą. Rzeczywiście pojęta wolność nie jest i nie może być tego rodzaju niezależnością. W ten sposób można by wykazywać, co najwyżej, że ktoś np. wolnym był; nie sposób natomiast dowiedzieć, że jest nim teraz i jako człowiek żywy. Wolność bowiem, to nie tylko niezależność od tych, czy innych ograniczeń i zależności; to także poczucie wolności: wartość.

W tym sensie wolność nazywana była czasem uświadomioną koniecznością. Ale jest to tylko jeden z aspektów wolności: wolność subiektywna. Określenie to nie wyjaśnia bowiem wszystkich jej istotnych treści — wszystkich jej właściwości. Bo dlaczego właściwie coś, co stanowi konieczność, ma być wolnością tylko dlatego, że człowiek to sobie uświadamia lub nawet akceptuje?

Wszystko to razem wzięwszy prowadzi nas do następującej tezy — wolność w ogóle, to nie tylko wolność od czegoś, ale także poczucie wolności: jej przeżywanie. Biorąc tedy pod uwagę fakt, że wolność od pewnych określonych determinant może być stwierdzona praktycznie, należy wyodrębnić dwa typy wolności: wolność obiektywną i subiektywną. Poczucie wolności, to bardzo istotna cecha wszelkiej wolności. Czymże byłaby bowiem nawet daleko idąca niezależność od tych, czy innych zależności, gdyby nie towarzyszyło jej poczucie wolności? Niezależność ta byłaby niejako czymś martwym, nierzeczywistym; i dopiero poczucie to nadaje jej istotnego znaczenia, pełni. Rodzi się zresztą zazwyczaj pod jej wpływem, ale, ponieważ nie jest to przecież regułą, wolność od czegoś może przejawiać się nawet bez tego poczucia. Może być też na odwrót: poczucie wolności może funkcjonować bez wolności od czegoś; i tak np. podlegający wszelkim rygorom karnym kapral w wojsku może mieć poczucie wolności jak generał, zaś generał może tego poczucia nie mieć wcale. Człowiek może być wolny nawet w więzieniu, ale jest rzeczą jasną, że będzie to tylko poczucie wolności, a nie wolność od pewnych determinant.

Pojęcie wolności nie jest więc pojęciem jednoznacznym. Czym innym jest wolność obiektywna, czym innym zaś subiektywna; czym innym połączenie pierwszej z przewagą drugiej, czym innym połączenie drugiej z przewagą pierwszej. Jeśli dodamy do tego jeszcze jakieś połączenie równoważne, to uzyskamy aż pięć odmian wolności, o których mówi się używając tego jednego, jedyne słowa. W ten sposób pojęcie to jest niejednoznaczne; i dlatego trudne do zrozumienia i zakomunikowania przy pomocy właściwego mu słowa wszystkich jego niespójnych i niejednoznacznych treści. Na dobrą sprawę należałoby się posługiwać w tym przypadku kilkoma słowami, a nie jednym. Ludzie jednak mając na myśli dość różne treści posługują się zazwyczaj tym jednym słowem. Nie dziwnego, że tyle nieporozumień i niejasności wiąże się z jego niefrasobliwym nadużywaniem.

Wśród wypowiedzi dyskusyjnych dotyczących wyższego szkolnictwa ekonomicznego szczególnie cenne i trafne są głosy i wnioski o konieczności doskonalenia systemu jednolitych studiów magisterskich. Ogólnym celem kształcenia na takich studiach powinno być wyposażenie absolwenta w gruntowną wiedzę, w zdolności do elastycznego przystosowywania się do zmieniającej się rzeczywistości, w samodzielność w dostrzeganiu i rozwiązywaniu problemów poznawczych i praktycznych, w zdolność do zajmowania aktywnej i twórczej postawy wobec współczesnych tendencji rozwojowych. W warunkach coraz większej zmienności, szybkiego rozwoju zarówno gospodarki socjalistycznej, jak i traktujących o niej

Myśliwi w skórach zajęcy

Zygmunt Mikulski

OD DAWNA w życiu literackim nie brakuje nam tego, co w języku dyplomatycznym nazywa się *démarche*. Oświadczenie, zaakceptowanie stanowiska, protest i to niezależnie od tzw. etapów. Wkrótce po wojnie ostrze tych wystąpień było skierowane przeciw pisarzom dwudziestolecia, którzy uprawiali „mały realizm”, powieści obyczajowej i środowiskowej, a jeszcze bardziej przeciw tym, których piśtarstwo tworzyło nurt psychologizujący, według nowelistów politycznej nadgorliwości opozycyjny wobec proletariackiej orientacji Kruczkowskiego, Broniewskiego, Wasilewskiej.

Po szczecińskim zjeździe Związku Literatów Polskich i proklamowaniu realizmu socjalistycznego na wewnętrznej banicji zostało skazanych wielu wybitnych twórców za to, że nie podporządkowali swych piór wymogom płytko rozumianej ideologii i propagandy. Natomiast niezasadniona pro-

nauk ekonomicznych głównym zadaniem szkoły wyższej jest kształcenie ekonomistów umiejących myśleć koncepcyjnie i samodzielnie analizować gospodarkę. Studia jednolite umożliwiają racjonalne rozłożenie szeregu przedmiotów na cały cykl studiów. Tylko gruntowna wiedza teoretyczna i metodologiczna nie podlegająca tak szybko procesowi starzenia się, którą

takich studiów gubiła się zupełnie wśród stawianych im zadań praktycznych, schodziła na margines życia przedsiębiorstw i instytucji, utrwalając mimowolnie opinie deprecjonujące znaczenie wykształcenia ekonomicznego. Pewną próbą wyjścia z tej sytuacji była bifurkacja kierunków branżowych na dwa profile: matematyczny i organizacyjny.

spodarki narodowej, to nie można byłoby porównywać wyników ekonomicznych tych działań lub galezi i prowadzić właściwej polityki ekonomicznej i finansowej. Kryterium zróżnicowania problematyki ekonomicznej nie ma charakteru branżowego; zróżnicowanie to jest determinowane przez sfery procesu reprodukcji społecznej. Rachunek optymalizacji wyników jest

wych, które w praktyce nie zdały egzaminu, i zastąpienie ich specjalizacjami funkcjonalnymi przygotowującymi do wykonywania określonych funkcji we wszystkich gałęziach gospodarki narodowej. Umożliwiłoby to większą międzybranżową przestawność zawodową ekonomistów, efektywniejsze pogłębianie zdobytej wiedzy oraz ograniczenie i minimalizację kosztów przekwalifikowania. Należy więc ograniczać te kierunki studiów, które w rzeczywistości nie dają specjalizacji (tzw. ekonomiki, np. przemysłu, handlu itp.), a rozwijać kierunki, których trzon na ostatnich dwóch latach studiów stanowiłyby dyscypliny traktujące o aplikacjach nauk teoretycznych i metodologicznych w poszczególnych sferach procesu reprodukcji społecznej. Jako przykłady specjalizacji funkcjonalnej można wymienić: planowanie i politykę ekonomiczną, teorię ekonomii, finanse, ekonometrię, statystykę, cybernetykę, organizację i zarządzanie, organizację przetwarzania informacji, programowanie, analizę ekonomiczną, rachunkowość. Zaletą specjalizacji funkcjonalnych jest m. in. to, że absolwent może być zatrudniony w różnych dziedzinach gospodarki narodowej i ma już określone przygotowanie do podjęcia pracy w określonym dziale każdego zakładu, przedsiębiorstwa, kombinatu czy zjednoczenia (zrzeszenia), a ewentualną specyfikę branżową może szybko uzupełnić. Trzeba jednocześnie wyraźnie stwierdzić, że w trakcie studiów absolwenci uzyskują zalety podstawy określonych specjalizacji. Pełna specjalizacja zawodowa może być opanowana w trakcie praktyki zawodowej oraz drogą samokształcenia i studiów podyplomowych, stąd w założeniu każdej zmiany systemu kształcenia ekonomistów musi tkwić wizja absolwenta „dyspozycyjnego” w sensie dalszego rozwoju intelektualnego, posiadającego umiejętność przyswajania nowych metod działania w szybko zmieniających się warunkach, a więc łączenia teorii z praktyką.

W systemie dokształcania i doskonalenia kadry kierowniczej pionów ekonomicznych należałoby wykorzystywać w szerszym zakresie niż dotychczas niektóre pozytywne doświadczenia „Betriebswirtschaftslehre” i „business administration”.

Kształcenie ekonomistów a reforma gospodarcza

ROMUALD POLIŃSKI

studenci powinni zdobywać w pierwszych dwóch — trzech latach studiów, może stanowić racjonalną podbudowę efektywnej specjalizacji na następnych dwóch latach studiów.

W dotychczasowym kształcie studiów ekonomicznych i systemie doskonalenia kadry kierowniczej zawarty jest branżowy model specjalizacji, który powstał i działał jako wynik niedorozwoju systemu funkcjonowania gospodarki narodowej oraz niedojrzałości jej teorii i metodologicznej wiedzy o sposobach racjonalizacji decyzji gospodarczych. Z konieczności więc nauczanie podstaw specjalizacji polegało na opisie organizacyjnie wyodrębnionych branż oraz systemów administracyjnego zarządzania. Szkoły wyższe uczyły konkretnych, praktycznych umiejętności, przygotowywały kadry do czynności dających się traktować wąsko i zrutynizowanych. Wyposażały w wiedzę encyklopedyczną w zakresie gałęzi gospodarki, przygotowując do spełniania wszystkich funkcji w danej branży, z konieczności w sposób dyktancki. Poważna część absolwentów

Stosunkowo powierzchowna specjalizacja branżowa obciąża nadmiernie balastem szczegółowych wiadomości, które szybko deprecjonują się. Szybko podlega ona procesom „moralnego zużycia” i utrudnia mobilność międzybranżową absolwentów nie przygotowanych do roli aktywnych rzeczowników postępu ekonomicznego w warunkach rosnącej zmienności układów organizacyjnych i technicznych. Specjalizacja branżowa uzasadniana jest tym, jakoby poszczególne działy gospodarki narodowej ze względu na swoją specyfikę wymagają różnych rozwiązań ekonomicznych, a więc zróżnicowanych resortowo systemów ekonomiczno-finance i organizacyjnych oraz metod rachunku ekonomicznego. Ten błędny pogląd stoi w sprzeczności z zasadą jedności rachunku ekonomicznego, metod analizy i technik planowania w gospodarce socjalistycznej. Gdyby takie instrumenty ekonomiczne, jak zysk, cena, procent, kredyt bankowy, podatek, amortyzacja, koszty itp. spełniały różne funkcje w poszczególnych dziedzinach i gałęziach go-

wszędzie identyczny; różne mogą być tylko jego elementy i warunki ograniczające.

O zatrudnieniu absolwentów decydują czynniki, które są najczęściej nieznanne w momencie wybierania kierunków studiów. Badania ankietowe przeprowadzane wśród absolwentów wyższych studiów ekonomicznych wykazały, że tylko połowa z nich pracuje zgodnie ze swoimi kwalifikacjami, 1/3 tylko częściowo zgodnie z kwalifikacjami, ponad 10 proc. pracuje niezgodnie z kwalifikacjami, a 13 proc. posiada inny zawód. Tak więc najbardziej pożądane są te elementy ekonomicznego wykształcenia, które skutecznie niż inne opierają się działaniu czynnika czasu i przez to zapewniają absolwentowi maksymalną zdolność tworczącej adaptacji do zmieniających się warunków i nowych alternatyw, do uczenia się przez całe życie wciąż nowych rzeczy.

Z tych wszystkich względów konieczne jest odrzucenie i zrezygnowanie z przeżytych specjalizacji branżo-

ferencję otrzymały takie wypracowania, jak Jana Wilczka „Numer 16 produkuje”, z którego powodu należałoby chyba uznać, że reprezentacyjnym wykładnikiem robotniczej postawy wśród branż jest fabryka cukierków, jak Mirosława Kowalewskiego „Kampania znaczy walka”, będąca na dobrą sprawę zbeletyzowanym wykładem technologii produkcji cukru, jak wreszcie — trudno, scripta manent — Tadeusza Konwickiego „Przy budowie”, zdawkowy obrazek wyretuszowanych pod wskazania nowego kierunku konfliktów społecznych. Po Październiku (tj. październiku 1956, jakie usługi dla nauczania wydarzeń politycznych oddaje kalendarz!) owe demarche, czyli ostantacyjne wystąpienia dotknęły zwolenników realizmu socjalistycznego. Jeśli tymczasem przezornie nie zmienili frontu. I to często ze strony tych, którzy poprzednio sami byli drętymi dogmatykami. Jednym z najdobitniejszych w tym względzie przykładów jest zygzak Adama Ważyka, który w „okresie minionym” był jednym z pierwszoliniowych schematystów (znane jest jego powiedzenie pod adresem Gałczyńskiego o mieszczańskim kanarku, któremu trzeba leć ukreślić), a później opublikował „Poemat dla dorosłych” będący całkowitą wywrotką niedawno zajmowanej przezeń postawy, co ma być podobno listkiem do wieńca powieściopisarza, poety i esety. Owszem, 25 lat od wydania „Poematu dla dorosłych” minęło, o czym czytaliśmy w literackiej prasie, ale jeśli wieniec się należy, to z napisem „Za chwalebny brak konsekwencji”.

Ala większe litery takiego napisu należą się Jerzemu Andrzejewskiemu. Przed wojną wydał on powieść „Ład serca”, za którą otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury w roku 1938. Powieść napisana z pozycji katolickich (potrącała się nawet o porównania z Bernanosem), autor —

współpracownik tygodnika „Prosto z mostu”, co było nie do darowania innym. Po wojnie wydawało się, że kto jak kto, ale Andrzejewski wchodzi na rynek literacki uczyni to z jakimś zachowaniem pamięci swoich niedysiejszych poglądów, a przynajmniej bez zastosowania aparatury nagłaśniającej dla zmian wynikłych z ewolucji — u wierzyliśmy — światopoglądowej. Tymczasem właśnie on stał się autorem broszury „Partia i literatura”, jednego z kanonicznych tekstów firmujących odindywidualizowanie twórczości i nałożenie końskich kłap schematyzmu na orientację ideologiczną. Ale to nie wszystko. Przyszedł wymieniony już Październik i oto autor „Partii i literatury” staje się — m. in. za pośrednictwem powieści „Ciemności kryją ziemię” — nieźrównanym i od dawna przekonany bojownikiem o wyzwolenie twórczego ducha z pęt dogmatyzmu. Człowiek się zmienia? Zmienia. Ale ta linia zmian przebiega w zadziwiająco bliskim sąsiedztwie z wykresem dominujących w danym okresie nastawień.

W dzisiejszej sytuacji politycznej stała wśród pisarzy koniunktura na dorabianie sobie trenów krzywd dotychczas na wczorajszym i przedwczorajszym etapie polityki kulturalnej. Nawet ci, których nie dotknęły żadne, lub prawie żadne restrykcje wyolbrzymiały drobne incydenty, by wykazać, że oni też byli sekowani. W 18 numerze „Tygodnika Solidarność” z dnia 31 lipca 1981 roku jest wywiad z Jackiem Bocheńskim „Znam błąd radykalizmu”. Oczywiście, autor nie kreuje się na główny pionochron ofiar nie przyjmujący gromy drańskich despotyzmu, nie mniej jednak swoje oświadczenia formułuje w ten sposób, by domyślny czytelnik sam sobie dorysował kropkę nad „i” niezastulonej dyskwalifikacji pisarza. Taktownie zatrzymuje się przed sformułowaniami dobitnymi licząc na ogólny ton swojej wypowiedzi, który i tak będzie dosłyszany. Sprytnie. Sprytnie jest również przyznanie się do niedysiejszej fascynacji ideologią komunistyczną, co ma na celu stepienie ewentualnego polemicznego ostrza, jeśli ktoś zechciał co nieco z praktyki publicznej Jacka Bocheńskiego przypomnieć. Uczynmy to jednak. Nie po to,

by — dla zabawy w serwowanie trudnych pitek — wypomnieć, ale by przypomnieć, dla dokończenia zaczętego przezeń rysunku. Otóż Bocheński był popularyzkiem „pyszczyt”. Takim outsiderem, w którym monopol ma nieoczekiwane oddane sprzymierzenia. Sam pamiętam pewne tzw. rozszerzone plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, na którym Bocheński wystąpił z postulatem: „pisarze do spółdzielni produkcyjnych” (tj. towarzyszyć procesom „nowego” na wsi), co nawet w okresie stalinizmu było zaskakującym wyrazem neofickiej nadgorliwości. A stały w tym czasie felieton w „Przeglądzie Kulturalnym”? A udział w nagonce na Gałczyńskiego? Owszem, jeśli wypowiedź Bocheńskiego jest obliczona na czytelnika najwyższej trzydziestoletniego, zawarte w niej rekryminacje znajdują swojego adresata, ale nie z samych takich składa się czytająca publiczność, a wśród niej nie wszyscy są dotknięci amnezją. W tych okolicznościach tytuł „Znam błąd radykalizmu” należałoby uzupełnić dopiskiem: „bo sam go stosowałem”.

Zjawisko nawet humorystyczne. Jest wielu pisarzy, którzy korzystając z preferencji dla pisarstwa uległego dyrektywom (taki urzędniczy termin domaga się użycia), w okresie „błędów i wypaczeń” zdobyli niezły kapitał w postaci wydanych książek, a co za tym idzie — pozycję na giełdzie literackiej, natomiast w momencie krytycznym ową pozycję wykorzystują na rzecz opozycji wobec wczoraj akceptowanych mocodawców. A wobec czytelników swoje opinie „na nie” żyrują znaczeniem, jakie uzyskali kiedyś swoim postępowaniem „na tak” — licząc na niepamięć, na odchylający komentarz, na zatarte się konturów zjawisk. W dodatku nie bez zabiegów o miano nieprzekupnych.

Kiedy bywałem na literackich zebraniach dyskusyjnych z udziałem przedstawicieli różnych środowisk w kraju, co od czasu do czasu mi się zdarzało, stawałem się świadkiem osobliwego zdarzenia: ktoś, kto nie miał żadnych trudności w wydawnictwach, ani w redakcjach, dobrze uplasowany w systemie stosunków zachodzących między organizacją pisarską a ośrodkami dyspozycji, ni stąd ni zowąd przybierał postawę Rejtana rozdiera-

jącego koszulę na piersi w imię pogwałconych zasad „humanizmu”, „prawości”, „moralności”. Rozwierałem oczy: kto? on? Sądziłem, że poza zasięgiem mojej orientacji zasłży wydarzenia skłaniające do takiej demarche. Później się przekonałem, że to nie ma! Wobec finansowych dysponentów i gestorów polityki kulturalnej występowało się w charakterze niekonfliktowego, natomiast wobec audytoryum, u którego większą ekspresyjność zyskiwały wystąpienia „na nie”, dobrze było zagrać ostrzejszą nutą. To zawsze przydawało się do umocnienia pozycji kulturalnej — z tym, że przez kuluary należy rozumieć nie tylko pomieszczenie sąsiadujące z salą obrad.

I dalszy paradoks: ktoś, kto rzeczywiście nie poddawał się presji wtedy, kiedy chciało twórczością literacką dyrgować, a zatem nie powiększył, czy nawet nie zapoczątkował swojego bibliograficznego dorobku, jest pozbawiony możliwości zabrania głosu również wtedy, kiedy przeciw owej presji należy się wypowiedzieć. Bo wciąż powstaje pytanie: a kto to? Nie można mówić będąc nikim. Czyli prawo wejścia na mównicę mają ci, którzy z krytykowanego na tej mównicy stanu rzeczy czerpał niezgorszy profil. Logiczne?

Nie zmierzam do twierdzenia, że na nieprawidłowości w zarządzaniu kulturą cała literatura powinna odpowiedzieć milczeniem, gdyż jakoby tylko taka może być dziś zrehabilitowana. Ale niechże nie drapują się na ofiary „systemu” ci, którzy włożyli niemały wkład w powodzenie jego funkcjonowania. Znow wytwarza się moda. Jak kiedyś na kask hutniczy, tak dziś na lachman powracającego z wygnania. Kuleć, wykazał poprzedni brak przydziału, utracenie — oto sposób na utrzymanie się w galerii zauważanych. Czas chyba skończyć z gestami! Nie jest odmianą stosowanie starych chwytów, tyle że z odwróceniem kierunku skutkowania o sto osiemdziesiąt stopni. Jedynie na naiwność, brak orientacji, obojętność — jeszcze na co — liczy myśliwy, który zapewnia, że wprawdzie uczestniczył w polowaniu, ale w charakterze zająca.

DEMAGOGIA I FAŁSZERSTWO

Barbara Dudzińska

W 6-tym numerze „Kamieny” ukazała się „recenzja” Waldemara Drasa z tomu wierszy Andrzeja Tchórzewskiego „Prostota”. Słowo „recenzja” należy tu opatrzyć cudzysłowem lub wieloma znakami zapytania, gdyż na ten tekst składają się w 70 proc. preparowane i fałszowane „cytaty”. Recenzja narusza podstawowe normy etyczne. Recenzent manipulatorsko posługuje się cytataми. Natomiast starannie unika nawet śladów jakiegokolwiek argumentacji.

To nie poezja — rozdziera szaty Dras. „Tchórzewski gada banalnie i do nikogo” — demagogicznie oświadcza Dras. A gdzie argumenty, czy choćby przykłady na poparcie tych kategorijskich stwierdzeń? Argumentów po prostu nie ma. Musimy p. Drasowi uwierzyć na słowo. Zastanawiając się to propozycja, zwłaszcza dziś — w okresie powszechnego sceptycyzmu. Kim jest ów geniusz, który domaga się od nas bezwarunkowego posłuszeństwa i uległości? W imię czego? Długo trwały poszukiwania i kwereńdy aniżm uzyskałam odpowiedź na to pytanie.

Otóż p. Dras to autor jednego arkusza poetyckiego „Czatownik”, członek Koła Młodzieży przy L. O. ZLP. Jako recenzent dotychczas nie notowany. „Niemota” jest jego oficjalnym debiutem krytyczno-literackim. Brak wprawdy być może tłumaczy wiele, ale nie wszystko. Nawet debiutant powinien mieć minimum poczucia odpowiedzialności za słowo. Tymczasem wysunięty przez Drasa „zarzut”, że Tchórzewski gada „do nikogo”, jest typowym przykładem gołosłowności, bo tomiki Tchórzewskiego rozeszły się, w księgarniach ich nie ma, w przecenie ani na loterii książkowej nigdy nie widziałam. Nawet przygotowując recenzję z „Prostoty” musiałam korzystać z egzemplarza bibliotecznego. Tchórzewski więc, jak każdy autor, gada do tych, którzy kupują jego książki.

Równie demagogicznie wygląda „zarzut” banalności, bo zamiast argumentu następuje spreparowany cytat:

Trzeba [...] odparować tomy banatów. Bez podania strony czy tytułu wiersza. Rzecz to wielce symptomatyczna dla „metody” p. Drasa. Sięgnijmy do książki:

Trzeba zniszczyć wszelkie obramowania /Przerwać ciąg skojarzeń Cwici stylistyk /Deszcz to deszcz /Oznajmić rygor /Podjąć trud patrzenia /poprzez oceny i dzieje/ Odparować tomy banatów...”

„Deszcz” s. 8

Przy pomocy znaku graficznego [...] sygnalizującego — jak wiadomo — o puszczeniu, zdanie: Trzeba zniszczyć wszelkie obramowania... zostaje zamienione w zdanie Trzeba odparować tomy banatów. Pytanie, ile i co można opuszczać w cytacie oraz gdzie kończy się cytowanie a zaczyna fałszowanie jest pytaniem retorycznym.

Na dobitkę spreparowany tak fragmentek ma służyć wykazaniu dość karkołomnej tezy głoszącej, że Tchórzewski nie tylko banalnie mówi, ale jeszcze się do tego bezczelnie przyznaje. Tymczasem autor „Prostoty” ma, co widać już w tomie „Dłoń dotyku”, dość trwałą obsesję banatu.

Obsesja to nie czyn, nie działanie. Gdybyśmy chcieli kierować się osobliwą logiką, jak proponuje p. Dras, musielibyśmy za kradzież karać nie złodzieja, ale staruszkę, która ma obsesję tego, że została okradzona.

Przytoczony przeze mnie fragment wiersza „Deszcz” poszatkowany na drobniejsze kawałki posłużył do zacytowania w trzech różnych miejscach recenzji. Przy czym w jednym takim fragmencie p. Dras zmienił ocenę na ocean, cytując Podjąć trud patrzenia przez oceany i dzieje. Sądzę, że jest to poprawka bardzo uzasadniona, bo przecież recenzent zawsze wie, co autor miał na myśli.

Metoda „cytatów poprawionych” to prawdziwy wynalazek dra(?) Drasa. Nie dziwnego, że stosuje ją chętnie. Zdarza się jednak, że popada w przesadną aktualizację zamieniając kark na kartki (dlaczego nie bony lub talony mięsno-spożywcze?). Co gorsza, na tej aktualizacji poprawionych cytatów p. Dras buduje swoją ocenę poezji Tchórzewskiego: Relacja życie-sztuka nie wytrzymuje stron — pisze Dras, sztywnieją kartki i rosną posady — kończy, cytując inny fragmentek tak ulubionego przez siebie „Oceanu”, chociaż tam na s. 13 czytamy: Sztwnieją kartki i rosną posady. Głęboko posunięta nieuczciwość czy zwyczajne draństwo?

Bagatelizując można by winę za owo tendencyjne zniekształcanie cytatów zważyć na „chochlika drukarskiego”. I nie wykuczam, że stojąc przed udowodnionym zarzutem fałszowania cytatów p. Dras będzie się musiał uciec do takiego wybiegu. Nie będzie mógł tylko wyjaśnić, dlaczego przystawiony chochlik buszuje wyłącznie po cytatach, a nie po „tekście” recenzji?

Błędy korektorskie czy zcerskie mogą wprowadzić potężne nieporozumienia, ale to nie zecerzy czy korektorzy dobierają cytaty w recenzjach tak, aby połączyć ze sobą fragmenty dwóch różnych wierszy udając, że pochodzą z jednego tekstu. W. Dras (znów bez podania strony i tytułu wiersza) cytuje:

W człowieku najbardziej nieuchwytny jest moment refleksji [...]

Zmieniają się tylko kopniaki

Ale pierwszy werset pochodzi z wiersza „Ty” (s. 26), drugi zaś stanowi fragment wersetu (tak, wersetu!) z wiersza „Das Sichbetrieb” (s. 11). Tak można spreparować każdy tekst, nie tylko zresztą poetycki, aby następnie go ośmieszyć. Staranne niewymienianie tytułów wierszy lub stron książki — tylko w jednym przypadku recenzent podaje skąd pochodzi cytowany fragment — jest zabiegiem celowym, obliczonym na to, że nikomu nie będzie się chciało sprawdzić cytatów z oryginałem, zaś podanie „adresu bibliograficznego” mogłoby zwrócić uwagę czytelników recenzji na zupełnie dowolne manipulowanie uprzednio poszatkowanym tekstem. Należałoby zatem zapytać, czy w „Niemocie” p. Dras stosuje jakiegokolwiek dozwolone chwyt. I na kogo obliczony jest ten zlepek demagogii, chamstwa, fałszerstwa, insynuacji, prostactwa? Czy

dozwolone jest parodiowanie jedynorazowego tytułu. Skoro z „Prostoty” można zrobić „Niemotę” spardiujemy jeszcze kilka podobnych. Literatura polska ma ich wiele: „Niepokój”, „Ocalenie”, „Wiklina”... Wszystkie można ośmieszyć. Tylko trochę więcej odwagi, panie D. Nawet pańskiego „Czatownika” można przekształcić w „Radio-wóz” lub „Rakarza”.

Należałoby też zapytać, czy w recenzji można stosować „chwyt” w rodzaju „Autor pod postacią Oceanu”... Pod jaką postacią występuje — wobec tego — Mickiewicz w „Pani Twardowskiej”? Pod postacią karczmny, diabła czy też kielicha? Obok „poprawionych cytatów” metoda utożsamiania autora praktycznie ze wszystkim: z podmiotem lirycznym, toposem, tematem wiersza stanowi oryginalny wkład dra(?) Drasa do polskiej krytyki literackiej. Tylko na kogo to jest obliczone, skoro nawet dzieci w szkole podstawowej wiedzą, że autor to coś innego niż podmiot liryczny czy temat wiersza?

Dziwi i zdumiewa mnie fakt, że najstarsze pismo literackie w Polsce zamieszcza elaborat, w którym demagogia, „struganie wariata”, inwektywy i fałszowanie cytatów łączą w jedną „urokliwą” całość. Chyba przez przypadek „Niemota” znalazła się w rubryce recenzji. P. Dras bowiem niczego nie recenzuje (na szczęście!!!), ale wykonuje czynności, które u nas, na Białanach nazywają się poetycznie i obrazowo „flekowaniem faceta”. Co to ma wspólnego z krytyką literacką? Naprawdę nie wiem. Myślę, że uważni czytelnicy też.

A swoją drogą, zalecam p. Drasowi uważną lekturę „Zarysu poetyki” (E. Miodońskiej-Brookes i innych). Zalecam przynajmniej tę książkę. Chociaż śmiem wątpić w to, czy zawarte tam treści dotrą do świadomości p. Drasa. Jestem ciekawa, jakby wypadł egzamin u profesorów A. Sandauera i J. Błosińskiego. Z pewnością poniżej niedostatecznej!

Uprawianie krytyki czy pisanie recenzji jest swoistą twórczością i dlatego, by robić to dobrze, trzeba posiadać talent, a przede wszystkim jednak wiedzę, intuicję i słuch, bo nawet „flekować” trzeba umieć, szanowny panie D.

O DREWNIANYM UCHU

Andrzej Bień

DE o zakład z panem Waldemarem Drasem, że tomik Tchórzewskiego rozejdzie się znacznie prędzej niż inne tomiki poetyckie, drukowane w tym samym nakładzie (2000 egz.) i w tym samym czasie. I chociaż zdaje sobie sprawę, że używam niedozwolonego argumentu, to przecież mam usprawiedliwienie, bo posługuję się bronią, którą pierwsi wyciągnęli z zanadru pan Dras. Na 93 linijki jego recenzji 26 (prawie 30%) stanowią cytaty — przeważnie pojedyncze lub pogrupowane po dwa wersy z tomu Tchórzewskiego. Jedyne trzy argumenty uznać można za rzeczowe: brak muzyczności (czy melodyjności), nadmiar rekwizytów (Kant, kamazze, królowie, Witkacy, etcetera), oraz brak konsekwencji (Tchórzewski chce i nie chce ładu jednocześnie). Tym argumentem spróbuję to i owo przeciwstawić. Reszta recenzji Waldemara Drasa, to, niestety, wyłącznie przysięgi. Ze Tchórzewski pisze wiersze niejako i dla nikogo, że same banały, itd. Coś tu jest jednak nie tak!

Brak muzyczności (czy może muzyki):

Tchórzewski, tak jak wszyscy poeci, którzy otarli się o Lublin i głęboko przeżyli Czechowiczowską poezję, jest Czechowiczem podsyty. Z Czechowicza wywodzą się przecież także Stachura i Kawalko, a wpływy Mistra potężnie obejmują wietu, wietu innych. To, co pan Dras nazywa „brakiem muzyki” jest świadomą działalnością, próbą wyzwolenia się od „ucieczek w sielankę”, przeciwwskazania się prąsi pszenno-buraczanemu krajobrazu. Bo to nie tylko lesy i wapienie kształtowały wrażliwość naszą. Od śmierci Czechowicza upłynęły prawie

40 lat i świat się zmienił. Toteż oddając Mistrowi, co Mistrowskie, nie możemy powielać go, naśladować. Tchórzewski, usiłując się wydobyć z prowincjonalnych ograniczeń, poszukując pomocy w walce z losem, przekopał się — przez Kanta i Kartezjusza, przez Federico Garcíę Lorcę i przez Witkaca. Staral się ustalić jaki jest (albo powinien być) nasz stosunek do historii filozofii i do historii literatury. A że taka działalność poety nie zawsze dawała efekty, to już inna sprawa. Stąd właśnie biorą się powroty — już nie ucieczki, ale właśnie powroty — do rzeczy podstawowych, pierwotnych, do zachwyty Bałtykiem („Morze”), do poszukiwania miłości i przyjaźni, do biologizmu niemieckiego („Pies”), i niechaj nikt nie ma za złe Tchórzewskiemu „wujka witkacego” i „działka gombrowicza”. Ta pozorna poufalskość jest oczywiście świadectwem niemocy, ale również potwierdzeniem tezy, że w książkach nie ma gotowych recept, że sposobów na oświeślenie świata każdy się musi nauczyć sam. A oto przykłady, ilustrujące rozwój twórczości Tchórzewskiego:

Tchórzewski wczesny, muzyczny, Czechowiczowsko-asonansowy:

świat
znad topoli zakurzonej
jest daleki
hen — cień

(„Włóczęga”; z tomu „Wnętrze kwiatu”) Tchórzewski późniejszy, eksperymentalny:

1
?
!
!
1999

(„Oda na zdobycie Mount Everestu”)

Tchórzewski przejawia zainteresowania historyczne: budował długie korytarze prowadził ludzi

śluchał jęku
specjalny cennik na spojrzenia
miał w ręku
dla niego noc nie była nocą

(„Mechanika groteski”; z tomu „Dłoń dotyku”, 1963)

Tchórzewski późny, świadomy własnej niedoskonałości i niemocy. Fragment „Samowiedzy” ze zbioru „Prostota”:

Wytropiony przez pytania wiem co to dojrzałość
I jak wąska struga oddziela nas od śmierci
Wiem
a jednak wolę
z dziażdkiem gombrowiczem obierać kartofle
starym zgrzebnym kosikiem Wypłukiwać
a wujkiem witkacym i przy tej robocie
zastanie mnie ta Jak jej tam Śmierć

Zarzut drugi. Niekonsekwencja, czyli pragnienie ładu i bałaganu:

A ktoś to powiedział, że poeta ma być wolny od rozterki? Ktoś to powiedział, że poeta ma pewno wszystko wie lepiej? Czy Gałczyński (muzyczny), Grochowiak („Łęki poranne”), Iwaszkiewicz (wieloletni prezes) i wreszcie laureat nagrody Nobla, Czesław Miłosz, są lub byli wolni od rozterki? Co więcej, rozterka stanowiła zawsze rodzaj poetyckiego tworzywa, próby pogodzenia sprzeczności owocowały już nieraz jako dzieła sztuki. Był tylko jeden okres w historii naszej literatury, kiedy poeci wiedzieli lepiej. Jerzy Miller, poeta w młodości niedoceniany, a później niestety muzyk (napisał teksty prawie wszystkich piosenek śpiewanych przez Szczepanikę), Jerzy Miller opowiadał mi kiedyś, jak to bywało na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Poeci mieszkali we wspólnym domu, rankiem wkładali kombinony i w szyku zwartym udawali się na place budów. Obserwowali pracę murarzy i wólkniarek, urzędników, traktorystek i sportowców. Czasem co prawda skręcał któryś do małej knajpki za rogiem, ale były to przypadki sporadyczne. A po południu poeci zasiadali przy biurkach, nad kasetami i maszynami do pisania i brali się do Tworzenia. Inżynierowali duszom, jedynomyślnie. A niechby tam spróbował któryś trochę wapić, albo nie wiedzieć wszystkiego na pewno!

Jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo w rozumowaniu Waldemara Drasa. Jeżeli poeta wie lepiej, a ja jestem poeta,

to automatycznie znajduję się „ponad poziomami”, prawie bez wysiłku z mojej strony. Przecież poezja — uszlachetnia.

Sklonny jestem podzielać pogląd, że dzieło sztuki powstaje w przestrzeni pomiędzy twórcą i odbiorcą. Poeta, malarz, kompozytor, sporządzają tylko coś w rodzaju matrycy, której wykorzystaniem powinien zająć się odbiorca. I chociaż zdarza się, że matryca jest do niczego, to bywa jednak i tak, że drewniane ucho albo daltonizm odbiorcy decydują o niepowodzeniu tego czy innego przedsięwzięcia. Toteż namawiając pana Waldemara Drasa do ponownej lektury wiersza „Kobiety idące przez trzy generacje”, w którym Tchórzewski nie tylko zilustrował tezę, że na terenie Polski ścierały się i łączyły wpływy Wschodu i Zachodu, ale też bardzo prosto (nomen-omen) ukazał, że nieomal na oczach naszego pokolenia dokonała się zmiana epok, więc namawiając Waldemara Drasa do ponownej lektury Tchórzewskiego, dedykuję mu również wierszyk, który poniżej:

kim jest pan Dras czy młody jest czy stary
jakież muzyki mu po nocach grają
czy raczej gniewnie spogląda na ludzi
czy macierzanek zbiera przy ruczaju
czy oczywiście nie ma najmniejszego sensu

bo żadna macierzanek
przy ruczaju nie wyrośnie
więc co z panem Drasem czy mu może radzić

poezji Tchórzewskiego ponowną lekturę
a nie na próżno marszcząc czoło w chmurę

wymyślił przecie
ów sposób stosowany hen na całym świecie
że jeśli kogoś serdecznie nie lubisz
najlepiej go zdeintegruj
to gazecie

POCZTA literacka



Na wstępie wyjaśnienie. W sierpniu zamieniliśmy się rolami z kolegą Henrykiem Pajakiem. Objąłem redakcję literacką naszego pisma. Teraz przypada mi odpowiadać także korespondentom tej rubryki. Niech więc nie mają żalu do redaktora Pajaka ci, którzy bezpośrednio do niego adresowali swe listy, a teraz spytają tu moją ocenę. Sporo utworów, które „Kamena” otrzymuje, pisana jest ręcznie, najczęściej niedbale, niewyraźnie. Jakże łatwo o błędne odczytania oraz interpretacje. Autorzy ci, sami sobie szkoda. W przypadku druku mogą zdarzyć się istotne zniekształcenia. Niekiedy trudno nawet odczytać imię i nazwisko oraz adres nadawcy. O ile to możliwe, w ich własnym interesie jest więc przesyłanie nam maszynopisów, a gdy to okazuje się niemożliwe, starannych rękopisów. Nierzadko otrzymujemy również kopie co nasuwa przypuszczenie, że dziesiątki odbitek tych samych utworów zalega redakcje innych czasopism. Zdarza się, że opowiadanie lub wiersz są dobre, ale ta niepewność, czy rzeczywiście jesteśmy jedyni, utrudnia nam decyzję o druku, tym bardziej, że ten brak szacunku dla własnego tekstu zdarza się nawet członkom Związku Literatów Polskich.

Tadeusz Jasiński

Stefan Z. Ciechanów H. P., odpowiadając Panu w numerze 16 „Kamena”, stwierdził: „W pancerzu rymów widzę Pana tracąca wszystko, czuje się ich terror, podporządkował im Pan całą konstrukcję zwrotki, w rezultacie wiersz istnieje nie dla treści, tylko dla rymu...”. I na dowód tego zarzutów przytoczył fragment utworu. Jest w Panu wiele dobrej woli, to widzę po nowej korespondencji i załączonych wierszach. Należą one teraz do tzw. białych. Zrzucenie tego krępującego „pancerza”, jak się mówi, przekonać, pozwala Panu swobodnie — może za swobodnie? — formułować myśli, ale poezji to jeszcze nie czyni. Chociaż, chociaż, gdy chodzi o „Kulę” oraz wiersz zaczynający się od słów: „ślad wycieha pascieli móżół”. Idea zamysłu przeprowadzona jest pełniej niż w innych a i dyscyplina, szczególnie słowa jest bardziej widoczna. Pragnę się jednak zastrzec — wiersz wywodzący się z tradycji może być nadal dobrym narzędziem i niech nam Pan zbytnio nie wierzy. Coraz więcej poetów, którzy zrzucili rymy, teraz do nich wraca, albo wybiera drogę pośrednią: asonans. Tylko że dla nich zabieg ten nie jest uścisłkiem pancerza. To stare rzemiołko słowa i wiedza, jak się nim posługiwać.

Krzysztof W. Lublin. Pisze Pan: „Bardzo „głęboko” i długo zastanawiałem się, czy napisać do „Kamena”. Jednakże postanowiłem — mimo świadomości własnej twórczej niedoskonałości — zasięgnąć rady i opinii. Pragnienie pisania, jeśli mogę się wyrazić tak, draży mnie jakież półtora roku. Wydaje mi się, że szukam środka, a równocześnie i sposobu wyrażenia się. Jest coś nieuchwytnego, albo niedopowiedzianego, co nie pozwala milczeć, co zmusza do szukania. Być może szukam słowa”. Najgorsza ta niepewność... Odnoszę wrażenie, że jest Pan chyba rzeczywiście pisarzem i to z okresu przed wynalezieniem maszyny do pisania. Zatrudnia Pan już skrybów i kłopotów, przepisywaczy, czego dowodzą różnice pisma w korespondencji przewodniej i w utworach. Wydaje mi się, że żartowniś z Pana, tylko czy w dobrym stylu? Nadużywanie w nadstawianych wierszach pewnego nazwiska redakcyjnego oraz końcówka listu wyraźnie podpowiadają, że uprawia Pan tzw. huśbę. Podziwia Pan odpowiedź H. P. dla Józefa O.: „Jakże wspaniale ujął Pan w ostatniej „Pocztce” pewną myśl... zamyślił się nad tym czy dąłoby się żyć bez pisania wierszy”. Po lekturze nadastanych nam utworów podzielił Pański podziw i zalecam, aby i Pan w podobnym zamyśleniu trwał jak najdłużej.

Leszek L. Warszawa. Z listu wynika, że posiada Pan sporą samowiadomość literacką, kłopotuje się Pan, że może „okazać się poetą, co samo w sobie jest, zapewne, mile i podciągające, ale i zobowiązujące, niestety”. Z reszty korespondencji widać, że wstrząsała Panem obiektywna anegdota o panienci, co to i pogrzebać by chciała i cnotę uchronić, i zachować pozory, które narzuca obyczaj, tyle że w tym wypadku młodość literacka. Pisze Pan: „muszę być... mniej gadatliwy”. Zgadza się. Dobry owoc tej wstrząśniętości znaleźć można w wierszach „Dom starców” i „Kłamstwo”. Ten ostatni wymaga jednak bardziej klarownego przeprowadzenia myśli.

Stefan E. K. Lublin. Józef R. Zamość. Tadeusz S. Krasnierny. Leszek W. Sosnowiec — nie skorzystamy.

T. J.

OKOLICE SZTUKI

„BOSY” LITERAT

W LISTOPADZIE minie dziesięć lat od śmierci Zenona Kononowicza i można przypuszczać, że przygotowywana przez lubelskie Muzeum Okręgowe duża wystawa obrazów, rysunków i grafik „Bosogo” tylko utwierdzi nas w przekonaniu o nieprzeciętnym poziomie jego twórczości, która za sprawą różnych prywatnych okoliczności trafiła niemalże pod strzechy, jest znana i coraz bardziej ceniona — choć nie zawsze proporcjonalnie do faktycznej wartości konkretnych płócien. Mało kto orientuje się jednak, że Kononowicz chętnie, aczkolwiek niezbyt często, sięgał po pióro: aby napisać jakiś wierszyk okolicznościowy, lub nawet sztukę teatralną czy reportaż. Prace te nigdy nie doczekały się druku; tylko niektóre impresje dziennikarskie malarza publikowała prasa między- i powojenna. Prawda, nie były to dzieła lotu wysokiego i trudno się dziwić, że na przykład jeden z teatrów krakowskich zrezygnował, zachowując się przy tym elegancko, z wystawienia rzeczy scenicznej pt. „Mein Kampf lub diable wzięli”, której zidiociałym bohaterem był Adolf Hitler z ostatnich dni III Rzeszy. Obecnie jednak, z perspektywy czasu niszczącego

szczegółu dawnych wydarzeń, niektóre próby literackie „Kamena” zasługują na uwagę. Mam na myśli przede wszystkim komedię z 1945 bodaj roku, w której autor przedstawił okoliczności powstania związku artystów własnej kawiarni „Pod Paletą”. Jak wiadomo, przybytek przy Krakowskim Przedmieściu pełnił w roku 1944 rolę centrum towarzysko-kulturalnego miasta PKWN, w którym większość byłalców raczyła się bimbrem, niekiedy śpiewali repertuar klasyczny, Jerzy Zaruba kłesił widełcem na ścianach uciśnięte sgraffito, a Leon Pasternak redagował satyrycznego „Stańczyka”. Przypomnijmy treść tych scen komedii, w których autor skierował swoich bohaterów do urzędu mieszkaniowego w celu uzyskania przydziału na lokal dla kawiarni.

Droga delegacji artystów do gabinetu naczelnika urzędu okazała się karkołomna. Magistracki korytarz tarasował wielki tłum rozgorączkowanych petentów, którzy w żaden sposób nie chcieli przepuścić malarzy poza kolejką, głusi na wyjaśnienia, że chodzi tylko o niepoważny drobniarz, o ślub mianowicie, a nie o mieszkanie. Nie udało się kolejny fortel, przy trzecim artyście byli o krok od sukcesu, kiedy to udając bliżej nieokreślonych funkcjonariuszy organów kontroli, zmusili woźnego do respektu i spowiedzi służbowej. Niestety, jeden z nich baknął nieopatrznie „My ze związku”, dekonspirując bohaterów. Przy okazji dowiedzieli się tylko, że przed magistratem tłum dopadł beczkę ze spirytusem i czerpie napój czapkami, konewkami i wiadrkami. Nie dało też efektu przebranie się Adasia, Stasia i Marka za duchownych, spieszących do naczelnika z ostatnim namaszczeniem.

Ważny wyjątek, że jego pryncypal owszem, „wczoraj sobie trochę pohulał, lecz czuje się znakomicie, dowodem czego jest, że wyjechał służbowo do Warszawy. Kiedy wróci, nie wiadomo, wyjechał na parę dni, a że lubi sobie popić, może zabawić dłużej...”. Ostatecznie malarze dotarli przecież do naczelnika — głosząc w poczekalni chęć oddania wolnego mieszkania. Wkrótce otwarto „Pod Paletą”.

Interes prosperował do czasu, kiedy Lublin był stolicą. Później, po opuszczeniu miasta przez władze i wielu artystów, w styczniu 1945 roku, zszedł na psy i spłajtował. Według Kononowicza, gospodarze opuścili kawiarnię wznosząc okrzyki: „Niech żyje Stefan! Niech żyje braterstwo i zgoda! Niech żyje Polska Sztuka! Niech żyje proletariatus! Niech żyje Związek Artystów

Plastyków! Idziemy do Stefana na wódkę!”

Naturalnie, tekst Kononowicza nie jest protokołem staran plastyków o otwarcie kawiarni, te zabiegi mogły wyglądać zupełnie inaczej. Na pewno jednak w tej próbie scenicznej malarza tkwią realia i klimat społeczno-obyczajowy tamtych czasów, co nadaje jej walor swoistego dokumentu, może bardziej wymownego, niż opracowania historyków.

Ten fragment aktywności „Bosogo” wart jest pamięci także przy okazji oglądania wystawy „Pierwsze dni wolności w twórczości plastycznej”, czynnej od lipca w lubelskim Muzeum Okręgowym. Jest to ekspozycja warta uwagi, pouczająca — mimo że koncepcyjnie połamana i zaopatrzona w katalog o charakterze amatorskim.

IJK

O znośne warunki przetrwania

CORAZ częściej mówi się o kryzysie ekologicznym, który zdaniem uczonych jest wynikiem kryzysu etycznego. W ostatnim dziesięcioleciu zwłaszcza, obserwowaliśmy niefrasobliwość decydentów, którzy, lokalizując inwestycje, obywali się bez kalkulowania ochrony środowiska w rachunek ekonomiczny. Efekt tego jest taki, że zdrowia społeczeństwa nie można powierzyć wyłącznie lekarzom. Jesteśmy za nie odpowiedzialni wszyscy.

Z tego powodu za krakowskim przykładem powstał w Lublinie oddział Polskiego Klubu Ekologicznego, który skupia naukowców, ludzi przemysłu, dziennikarzy i wszystkich zainteresowanych „profilaktyką jutra” na Lubelszczyźnie. Będziemy tropić wszystkie przejawy niszczenia naturalnego środowiska człowieka, takie jak usytuowanie puławskich Zakładów Azotowych w obrębie dużej powierzchni lasów, sławetne puszczenie magistrali

kolejowej przez środek Roztoczańskiego Parku Narodowego, czy włączanie szeregu jezior w system melioracyjny na pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim. Mamy nadzieję, że będąc jeszcze jedną siłą przestrogą władze i społeczeństwo przed zagrożeniami wynikającymi z nierozważnych decyzji — uda nam się zwalczać stereotypy w myśleniu, które w minionym okresie narobiły tyle szkody. Musimy poszukać sposobów na odrobienie zaległości w praktycznym wykorzystaniu badań naukowych dla ochrony człowieka i jego środowiska. Niezbędne jest udrożnienie wszystkich kanałów finansowania ochrony środowiska, by troska o znośne warunki przetrwania była interesem nas wszystkich, a nie tylko garstki pasjonatów.

Dlatego do spraw, którymi zajmujemy się na początku, zaliczyliśmy: poinformowanie opinii publicznej o niekorzystnych zmianach środowiska w rejonie LZW, dodatkowo zagrożonym budową elektrowni. Wyjaśnimy problemy związane z budową oczyszczalni ście-

ków na Lubelszczyźnie, a zwłaszcza warunkującej dalszy rozwój Lublina, oczyszczalni na Hajdowie, przedstawimy możliwości zmniejszenia emisji przemysłowych pyłów i gazów, w Chelmie, Puławach, Lublinie, Rejowcu, Świdniku oraz będziemy zmierzali do zwiększenia powierzchni zielonych, szczególnie w aglomeracjach miejskich.

Nie przeceniamy naszych możliwości w wywieraniu wpływu na plan społeczno-gospodarczy rozwoju Lubelszczyzny. Postaramy się jednak, by sprawy niejednokrotnie podejmowane przez urzędy i instancje, powołane do ochrony naturalnego środowiska, tym razem nie zostały zamknięte w odpowiedzialnych segregatorach.

Skupiając wokół siebie ludzi życzliwych, będziemy wyrażicielami opinii tej części społeczeństwa, która sama wspomni się o swojej należności.

Polski Klub Ekologiczny
Oddział w Lublinie

KRONIKA

■ Dobiegają końca żniwa w regionie; plony zapowiadają się dobrze lub bardzo dobrze. Pięknie też obrodziły tytonie i chmiel, znakomicie zapowiadają się buraki cukrowe.

■ Około połowy sierpnia na targowisku lubelskim za kilogram schabu żądano 400 zł, za szynkę 300 zł, za słoninę 200 zł. Klientów jest wielu, towaru brakuje.

■ Lada dzień rozpocznie się nowy rok szkolny a tymczasem placówki w małych miastach i we wsiach narzekają na brak węgla do opalania klas.

■ Wśród instytucji zagranicznych, z którymi współpracuje Zakład Archeologii UMCS, znajduje się m.in. Muzeum Człowieka w Paryżu. Rezultaty polsko-francuskich badań na cmentarzysku w Mastomierzu przedstawiono w Małej Galerii hrubieszowskiego domu kultury (który zresztą do dziś nie doczekał się własnego obiektu, korzysta z ciśnień i przypadkowych pomieszczeń, choć miasto liczy już niemal 30 tysięcy mieszkańców).

■ Brak ogumienia i części zamiennych zmusił lubelskie MPK do ograniczenia liczb

by kursujących autobusów. Niewykluczone, że we wrześniu dojdzie do wyłączenia z fachu całych linii komunikacyjnych. Strach pomyśleć, w jakich warunkach i z jaką punktualnością docierać będziemy do pracy, do szkół...

■ Redakcja Wydawnictw KUL opublikowała podręcznik języka polskiego dla studentów zagranicznych pt. „Wśród Polaków”. Jest to wydanie drugie, poprawione i poszerzone, pracy Brygidy Rudzkiej i Zofii Goczołowej, która cieszyła się wielkim zainteresowaniem u adresatów. Obecna edycja wydrukowana w 20 tys. egzemplarzy. W przygotowaniu znajdują się dwie następne części podręcznika.

■ Henryk Czełmek (malarstwo) i Włodzisław Włocławski (język polski) dla studentów zagranicznych pt. „Wśród Polaków”. Jest to wydanie drugie, poprawione i poszerzone, pracy Brygidy Rudzkiej i Zofii Goczołowej, która cieszyła się wielkim zainteresowaniem u adresatów. Obecna edycja wydrukowana w 20 tys. egzemplarzy. W przygotowaniu znajdują się dwie następne części podręcznika.

■ Przypuszczalnie po godzinie 1 rano znów okradziono skarbnikę na Starym Mieście w Lublinie, do której — jak wiadomo — ludźmi wrzucano pieniądze na rewolucyjną i zabytkową dzielnicę.

■ Co ezarty nowy samochód, który dociera do lubelskiego „Polmozytu”, jest okradziony: z kół zapasowego lub akumulatora, albo z obu tych rzeczy. Poza tym wozy bywają porysowane, pozbawione szyb, pogięte.

■ „Nie wiem” — odpowiedział p. Małyszewski Wojewódzki Konserwator Zabytków w Lublinie, na pytanie, jakie są wyniki prac specjalnej komisji, powołanej dawniej temu przez władze dla zbadania okoliczności nieodpowiedzialnego potraktowania przez inną komisję części spuszczony po Wiktorze Ziolkowskim, wyrzuconej po prostu na śmietnik i przypadkowo uratowanej przez pracowników PKZ. Mimo wszystko czekamy na wyjaśnienie całej, pomuranej sprawy.

■ Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej Im. Wandy Kaniorowej (ZPITZLAWK) wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie weźmie udział w dwóch festiwalach folklorystycznych. Mówi się o wyprawie zespołu do USA, może jeszcze w tym roku.

■ Z informacji „(max)” w „Kurierze Lubelskim” z 10 sierpnia dowiadujemy się, że miasto posiada w zapasie jeszcze 300 m płoików, którymi od pewnego czasu z emulacją grodzi ulice, nawet zabytkowe, troszcząc się o życie i zdrowie obywateli. Ciekawe: Warszawa jakby trochę większa od nadbystrzeżkiej metropolii, diabło ruchliwa, ale jakoś nie przyszło tam nikomu do głowy, aby fiancować płoty na Nowym Świecie czy Krakowskim Przedmieściem. Widać bardziej dbają tam o rozsadek, niż o zdrowie...

TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY (3)

Najważniejszą jest Tablica Szmaragdowa, którą sam Apoloniusz z Tyany miał rzekomo znaleźć w grobie Hermesa. Inni przypisują to odkrycie Aleksandrowi Wielkiemu. W średniowieczu tekst znany był tylko z przekładu łacińskiego, dopiero w roku 1926 znaleziono starszy tekst arabski. Treść tej Tablicy Szmaragdowej jest następująca: „Verum, sine mendacio, certum et verissimum. Quod est inferius, est sicut quod superius — et quod est superius est sicut quod inferius, ad penetranda miracula rei unius. Et sicut quod est superius — et quod est tione unius, sic omnes res natae fuerunt ab hac una re, adaptione. Pater eius est sol, mater eius est luna. Portavit illud ventus in ventre suo. Nutrix eius terra est. Pater omnis telesmi totius mundi est hic. Virtus eius integra est et versa fuerit in terram. Separabis terram ab igne, subtile a spisso, suaviter cum magno ingenio. Ascendit a terra in coelum, iterumque descendit in terram, et recipit vim superiorum et inferiorum. Sic habebis gloriam totius mundi. Ideo fugiet a te omnis obscuritas. Haec est totius fortitudinis fortitudo fortis quia vincet omnem rem subtilem omnemque solidam penetrabit. Sic mundus creatus est. Huic erunt adaptiones mirabiles quarum modus est hic. Itaque vocatus sum Hermes Trismegistus, habens tres partes philosophiae totius mundi. Completum est, quod dixi de operatione solis.”

Oryginalne Szmaragdowe Tablice zapisane były podobno językiem symbolicznym i obrazkowym.

Przypuszcza się, że Tot i wyższa kasta Atlantów znała szereg pojęć, które stanowią dorobek współczesnej cywilizacji, takich jak jedność i niezniszczalność materii i energii, podobieństwo w budowie makrokosmosu i mikrokosmosu itp. Tego rodzaju interpretacja przedstawiona w jednym z francuskich czasopism jest na tyle interesująca, że warto ją tutaj przytoczyć.

1. „Co jest na dole podobne jest temu, co na górze, a co jest na górze podobne jest temu, co na dole, aby spełnić cudowności jednej rzeczy”.

Jest to krótkie przedstawienie idei jedności i podobieństwa budowy mikrokosmosu („co jest na dole”) i makrokosmosu („co jest na górze”).

2. „A ponieważ wszystkie rzeczy zostały stworzone za przyczyną jednego Bytu, więc wszystkie rzeczy zostały stworzone z tej jednej rzeczy w drodze przetworzenia”.

To zdanie stanowi ściśle odzwierciedlenie współczesnych poglądów na jedność materii i cząstek elementarnych, z których składają się wszystkie substancje. W pierwszej części zdania przedstawiona jest myśl na temat rozwoju całej przyrody, ożywionej i nieożywionej, którego przykładami może być zarówno wzrost kryształków, jak i podział komórek czy inne procesy.

3. „Jest ona przyczyną wszelkiej doskonałości na całym świecie. Jej moc jest na ziemi nieograniczona”.

Jest to obrazowy opis potężnych sił ukrytych we wnętrzu pierwotnej materii.

4. „Oddziel ziemię od ognia, subtel-

ne od gęstego, działając ostrożnie i bardzo umiejętnie. Ta rzecz wznosi się od ziemi do nieba i jednocześnie znowu zstępuje na ziemię. Ona łączy moce rzeczy wyższych i niższych. I ty zyskasz chwałę całego świata i wszelkie niejasności odstąpią od ciebie”.

Jest to najbardziej interesująca część Szmaragdowych Tablic, mówiąca o zasadach opanowania wewnętrznej energii materii. Wskazuje ona przede wszystkim na konieczność oddzielania energii wewnętrznej („ognia”) od materialnego substratu („zie-

mi”), który jest nośnikiem tej energii, związanej z subtelną budową materii, z cząstkami elementarnymi („subtelne do grubego, gęstego”). Proces ten jest bardzo niebezpieczny („ostrożnie”) i wymaga głębokiej wiedzy i specjalnej aparatury („bardzo umiejętnie”). Wydzielająca się energia stanowi strumień cząstek („wznosi się od ziemi”) i posiada związek z podobną energią przychodzącą z przestrzeni kosmicznej, z promieniowaniem kosmicznym („zstępuje na ziemię”). Na związek z energią kosmiczną oraz jedność procesów zachodzących na Ziemi i we Wszechświecie wskazuje zdanie: „Ona łączy moce rzeczy wyższych i niższych”. Ten, kto opanuje ten proces, będzie wielkim dobroczyńcą ludzkości uwalniając ją od nędzy, nieszczęść i ciemności.

5. „Rzecz ta jest mocą wszelkiej mocy, chwytą ona wszystko co nieuchwytnie i przenika wszystko co nieprzenikliwe, dlatego, że tak stworzone zostały wszystkie rzeczy (cały świat)”.

Tutaj raz jeszcze podkreślony został pierwotny charakter wewnętrznych sił materii, najpotężniejszych sił przyrody, które są źródłem wszystkich pozostałych form energii występujących zarówno w układach mikroskopowych, cząsteczkowych czy atomowych („nieuchwytnie”) jak i w olbrzymich masach materii („nieprzenikliwe”). Ta powszechność i jedność zasady stanowi podstawę budowy wszechświata.

Warto zwrócić uwagę, że Szmaragdowe Tablice nie zawierają typowych średniowiecznych alchemicznych poglądów, ani nie stosują ich terminologii. Brakuje tu także typowych dla średniowiecza aluzji do kamienia filozoficznego czy też alchemicznych elementów budowy materii jak, rtęci siarki, soli itd. Teksty mają charakter zupełnie odmienny od alchemicznych. Tablice prezentują koncepcję filozoficzną (nawet bez podanej powyżej interpretacji), która nie ma nic wspólnego z charakterystycznymi dla średniowiecza rozważaniami alchemików,

a nawet z koncepcjami filozofów antycznych, które leżą u podstaw alchemii. Dla porównania przyjrzyjmy się treści jednego z przeciętnych średniowiecznych tekstów alchemicznych. Oto recepta alchemiczna na Kamień Filozoficzny podana w XII wieku przez niemieckiego mnicha piszącego pod pseudonimem „Teofil” w jego książce pod tytułem „Schedula diversarum artium”.

„Istnieje też złoto, hiszpańskim zwane, które się otrzymuje z czerwonej miedzi, proszku bazylijskiego i krwi ludzkiej oraz octu. Narody pogańskie, których biegłość w tej sztuce jest znana, tworzą sobie bazylijsków w taki sposób. Mają pod ziemią dom, u góry

w spodzie i z każdej strony kamienny, z dwoma okienkami tak szczupłymi, że przez nie zaledwie co widzieć można; tam umieszczają dwa stare koguty dwunasto lub piętnastoletnie i dodają im obfitej żywności. Te, gdy się utuczą, skutkiem gorąca parzą się i znoszą jaja. Po zniesieniu jaj wyjmują się koguty, a wsadza ropuchy, które by jaja wysiadywały, a którym daje się chleba na pożywienie. Z jaj tych wylęgają się samezyki do kurzych kurcząt podobne, którym po siedmiu dniach wyrastają wężowate ogony, i zaraz by się w ziemię wkopały, gdyby podłoga domu nie była kamienna. Zarządzając temu ich dozorycy mają okrągłe naczynia miedziane, bardzo obszerne i ze wszystkich stron podziurawione, z ciasnymi ościeżkami; do tych wkładają owe stworzenia, a ościeże pokrywają miedzianymi pokrywkami i w ziemię zakopują, a wchodzącą przez dziury rozdrobnioną ziemią zwiwią się przez sześć miesięcy. Po upływie tego czasu wydobywają się i na obfitym ogniu kładą, aż się w nich zwierzątka zupełnie spalą. Po ostudzeniu wyjmują się i trą starannie z dodatkiem krwi ludzkiej w jednej trzeciej części z człowieka rudego, która wysuszoną i startą być powinna. Dwie te części składowe skrapiają ostrym octem w czystym naczyniu; potem się biorą jak najcieńsze blaszki z najczystszej miedzi czerwonej, smarują z obu stron rzeczoną substancją i kładą do ognia. Gdy się do białości rozgrzeją, wyjmują je, gaszą w tejże samej zaprawie i obmywają, i tak długo, to powtarzają, aż zaprawa zupełnie miedź przegryzie, a ta i wagi i barwy złota nie nabierze. To złoto zdatne jest do wszelkich wyrobów.”

Wracając jeszcze do zagadnienia wysokiej cywilizacji Atlantów często napotyka się pytanie, dlaczego tak wysoka cywilizacja zaginęła pozostawiając po sobie tak niewiele śladów materialnych. Wydaje się, że przyczyną tego była hermetyczność i ścisła izolacja kultury panującej „po ostatniej

wojnie bogów” Kasty Atlantów, starającej się podtrzymać wśród otaczającej ich i stojącej na niskim poziomie kultury ludności, wiarę w nich jako potomków bogów. Całą wiedzę naukową i techniczną, jak również umiejętnościami praktycznymi władali prawdopodobnie tylko niewielka liczba kasty. Ci, którzy do kasty należeli, nie dopuszczali ludzi spoza kasty do żadnych prac związanych z produkcją środków skomplikowanej technologii. Nie chcieli uczyć prymitywnej ludności i przekazywali jej tylko tę elementarną wiedzę, nawyki i umiejętności, które były niezbędne dla dość prymitywnego życia.

Dlatego rządząca kasta Atlantów, zginawszy w katastrofie, zabrała ze sobą także całą swoją wysoką wiedzę. Wysiłki natomiast tych Atlantów, którzy ocalili, przekazania choćby ogólnych zasad wiedzy nie mogły być uwiecznione powodzeniem, ponieważ poziom intelektualny ludzi w owych czasach był zbyt niski na to, aby pojąć, co im przekazywano. Nie dziwimy się więc ich nostalgii i rozpacz, kiedy pisali (Papiirus Chester Beatty III, XX w. p. n. e.: „Gdzie leży kraj naszych snów — pejzaże oglądane przez powieki zaklejone nocą? Czy tam gdzieś już byli?”

Wracamy tam gdzie byli pierwsi z nas, a dokąd my sami już nie wrócimy. Jedyne we śnie przybywamy do kraju doświadczeń tysięcy lat czło-wieka na Ziemi. Czy na pewno dobrze tłumaczymy obrazy i zdarzenia stamtąd?”

BIBLIOGRAFIA

1. J. Bramwell, „Lost Atlantis”, London, 1937.
2. H. P. Blavatska, „Die Geheimlehre”, Antropogeneis, Leipzig, 1888.
3. M. Manzi, „Le livre de l'Atlantide”, Paris, 1922.
4. W. Scott-Elliot, „L'Histoire de l'Atlantide”, Paris, 1901.
5. W. Scott-Elliot, „The story of Atlantis”, London, 1896.
6. W. P. Phelon, „Our story of Atlantis”, Written down for the Hermetic Brotherhood”, San Francisco, 1903.
7. R. Steiner, „Atlantis and Lemuria”, London, 1923.
8. L. Jacollot, „Histoire des Vierges. Les peuples et les continents disparus”, Paris, 1877.
9. A. Le Plongeon, „Queen Moo and the Egyptian Sphinx”, London, 1895.
10. A. Braghin, „Atlantis”, Stuttgart, 1946.
11. E. Georg, „Verschollene Kulturen. Das Menschenheitsleben, Ablauf und Deutung”, Leipzig, 1939.
12. W. Markowska, „Mity Greków i Rzymian”, Warszawa, 1979.
13. L. Sprague de Camp i C. C. de Camp, „Duchy, Gwiazdy, i Czary”, Warszawa, 1970.
14. L. Szczepański, „Wiedza Tajemna”, Kraków-Warszawa, 1932.
15. Teofila, kapłana i zakonnika O sztukach rozmaitych ksiąg troje, Przekład Teofila Zebrowskiego, w: O złocie hiszpańskim (De auro hispanico), Kraków 1880, s. 112—114.
16. A. Gorbowski, „Staryje zagadki istorii i nowyje hipotezy”, Nauka i Zin, 1963.
17. A. I. Szternfeld, „Wwiedzenie w kosmonawtykę”, Moskwa, 1937.
18. L. Zajdler, „Atlantida”, Warszawa, 1963.
19. I. F. Zirow, „Atlantida”, Moskwa, 1964.
20. H. Bac, „A propos des „Tables d'Emeraud”, Atlantis, Paris Nr 193, s. 79—82, 1939.
21. H. Bac, „Les atlantes furent-ils un peuple bleu?”, Atlantis, Paris, Nr. 204, 68—72.

Ryszard Marek Groński



Powiedział Lech Wałęsa,
że gdy wytyżymy dłonie,
to w dwa lata zrobimy
z Polski drugą Japonię.

Myśl o drugiej Japonii
trafna jest niesłychanie,
bowiem już od sierpnia
żyjemy na wulkanie.

Wstrząs podziemny w Piotrkowie
osiągnął cztery stopnie.

Pewnie aktyw się zatrząsł
czymś wzburzony okropnie.

W Karlinie wytrysk ropy,
ogniśnią przybrał postać.
To Kozdra tak się palił,
żeby na funkcji pozostać.

U nas co województwo,
to czynna Fudijama.
Naród nasz jest jak lawa,
a skorupa ta sama.

Dość ogłosić w gazetach
i przeczytać w dzienniku:
Polska druga Japonia.
Nie brakuje Japończyków.

Miło pomyśleć o tym,
że już Japonia z Polski.
Skład rady d/s reformy,
to jak skład apostolski.

Beksiaka pominięto.
Secomskiego wpuszczono,
by znów po japońsku
mógł uderzać w kimono.

Marzę, że już jesteśmy
krajem Hond i Toyot.
W telewizji pan Bilik,
towarzystwi jak kojot.

Pisze Japończyk Urban,
dziennikarski samuraj:
„Choć władza to nie pejsza,
przeciw władzy nie szuraj!”

Jak chce Pismo, nadstawia
koleżkom z Pax'u polip
redaktor Stefanowicz
— Japończyk i katolik.

Nad czarką ciepłej sake
Starczy chłona pogłoski,
wreszcie w wice szogun
poszedł M. F. Rakowski.

Książę jak z Hokusaja,
niebo z lazuli lapis.
Nagle ryk przeraźliwy,
jakby ryczał byk Apis.

„Za co mnie to robicie?
Ja nie chcę, nie poradzę!
Ja mam żonę i dzieci,
nie chcę być kamikadze!”

Skąd w szczęśliwej Japonii
te sadystyczne harce?
Znow ktoś musi wystąpić
w „Listach o gospodarce”.

(Z programu I Polskiego Radia, 24 ma-
ja 1981 r. Interpunkcja redakcyjna).

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechoryc-Radnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Ko-
legium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk
Pajak, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obloza.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz.
10—12 i piatki w godz. 14—15.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 253-30

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Pa. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4, PL ISSN 0137-7104 Nr indeksu 36251 Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 2-9-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-33

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.